

1948

1948

8/1

A. PODLISZEWSKI

PALESTYNA
przed laty dwudziestu
(Z pamiętników podróży).

Z przedmową prof. M. Bałabana.



Skrytka

PALESTYNA
przed laty dwudziestu
(Z pamiętników podróży).

A. PODLISZEWSKI

PALESTYNA
przed laty dwudziestu
(Z pamiętników podróży).

Z przedmową prof. M. Bałabana.

Skład główny: Księgarnia M. J. FREID **†** S-ka
Warszawa, Rymarska 16.

CBGiOŚ, ul. Twarda 51/55
tel. 22 69-78-773



Wa5161689



1948

Druk J. Kettera, Rymarska 8.

HH-59179

SŁOWO WSTĘPNE.

Opisy podróży do Ziemi Świętej jakoteż opisy samej Ziemi Świętej są aż nader liczne. Nie mówiąc o pielgrzymkach chrześcijańskich tak częstych nawet u nas w Polsce (Peregryncja Radziwiłła Sierotki w roku 1584), wspomnę jeno, że nasza żydowska literatura średniowieczna zawiera itinerarja takiego pokroju, jak: Podróż Benjamina z Tudeli, Petachji z Ratysbony, poety Alcharizjego, Nachmanidesa, Obadji z Bertinoro i wiele innych. Z polskich Żydów dawniejszej epoki opisał pielgrzymkę do Ziemi Świętej i stosunki tamże w latach 1700 — 1706 jeden z kompanji Judy Chassida: Gedalja z Siemiatycz.

Wszystkie te opisy dają nam obraz kraju ponury. I ci którzy byli w Palestynie w wieku XII czy XIII, czy też nasi pielgrzymi z wieku XVIII opisują pustkę i nędzę, jaka tam panowała, a zarazem ucisk Żydów czy to ze strony Krzyżowców, czy też ze strony Arabów i Turków. — „Im miejsce świętsze, tem jest bardziej opuszczone“ —

powiada Nachmanides w liście do swego syna i ta sama nuta dźwięczy w opisach nowszych aż po nasze czasy. Boć i opis poety Ludwika Augusta Frankla („Nach Jerusalem“) z połowy XIX wieku nie wiele się różni od poprzednich: pustka, nędza, ucisk i chaluka.... oto, co widział w tym tak pięknym a nieszczęśliwym kraju.

Ostatnie dziesiątki lat XIX wieku zrodziły nowy ideał żydowstwa: odrodzenie we własnym kraju. Grupa młodzieży żydowskiej rusza po pogromach lat 1882 — do Ziemi Świętej, by tu na ojczystej roli zabrać się do pracy. Ideologja tych młodzieńców nie była nową ani też izolowaną: za nimi stała grupa społeczeństwa żydowskiego, dążąca do wcielenia w czyn planów Mohilewera i Pińskiego. „Autoemancypacji“ w gólsie należało przeciwstawić przewarstwowanie w „Erec Izrael“, bo tak poczęto nazywać tę krainę w kołach narodowo-żydowskich. Jeden z największych bogaczy żydowskich baron ROTSZYLD daje się pozyskać dla tej myśli i zakłada kilka kolonji żydowskich w Palestynie. Z roku na rok wzmaga się idea odrodzenia narodu żydowskiego i zatacza w gólsie coraz to obszerniejsze kręgi. W Odesie powstaje Towarzystwo dla popierania kolonizacji Palestyny, w biednej Galicji tworzą się ośrodki „sjonis yczne“, a z jednego z nich (Tarnów) wychodzi plan kolonji MACHNAIM, w Wiedniu organizuje się Stowarzyszenie „Zion“ o identycznych celach. I oto wszystkie te ośrodki ze-

brał w jedną całość Teodor Hercel i w miejsce t. zw. sjonizmu **praktycznego** stworzył sjonizm **polityczny**. Na lata zaprzestano drobiazgowej budowy i ześrodkowano wszystkie siły, by móc z całą powagą i całym rozpędem przystąpić do stworzenia ojczyzny żydowskiej w Palestynie. Kongresy światowe, zjazdy krajowe, fundusz narodowy, Bank Kolonialny, — oto nowoczesne środki, mające prowadzić do celu. A równocześnie jedzie Hercel do wielkiego księcia badeńskiego, do papieża, przyjmuje Wilhelma II w Palestynie, a ponadto raz po raz jedzie do sułtana, proponując mu regulację finansów za pozwolenie, na legalne osadnictwo Żydów w Palestynie.

Robota tedy wrzała na wszystkich polach lecz czy szła dosyć sprawnie i szybko? W swych pamiętnikach biada Hercel nad przeszkodami, jakie się przed nim piętrzą w goluśie, oraz nad żółwim krokiem pracy sjońskiej w Palestynie. I oto, jakby pendant — i to pendant bezpretensjonalne ale bardzo ciekawe do słów Hercla — brzmią wywody p. ABRAHAMA PODLISZEWSKIEGO, które niniejszem dajemy do rąk czytającej publiczności. Autor, z zawodu kupiec, a przytem działacz społeczny na wielką skalę, przejął się również ideą regeneracji żydowskiej i zajął w ruchu sjońskim poważne miejsce. Lecz jako człowiek praktyczny nie zadowolnił się teoretycznymi wywodami, ani patrzeniem na ziemię ojców z dalekiej perspektywy przez przy-

mat artykułów publicystycznych lub nawet podręczników, lecz postanowił sam zwiedzić ten kraj i naocznie się przekonać o stanie roboty żydowskiej tamże.

I oto mamy przed sobą opis podróży i kolonij żydowskich w samej Palestynie. Autor barwnie i z polotem opisuje swą drogę. Widzimy przed sobą Konstantynopol, Smyrnę, Bejrut, a wreszcie Jaffę i Hajfę aż po Tiberjas, a dokoła nich kolonie żydowskie. Czytając opisy p. Podliszewskiego mamy niejako uzupełnienie do przepięknych opisów i pamiętników Hercla. Po drodze poznajemy różnych działaczy sjonistycznych, pomocników Hercla w Konstantynopolu, dyrektorów Banku Kolonjalnego oraz administrację kolonji barona Rotszylda. Sądzę autora o tem wszystkim wypadł **ujemnie**: ludzie na wysokich stanowiskach nie dorosli do swych zadań, koloniści zniechęceni i niechętni do pracy, wszędzie jeno arabski pracownik, a żydowski „nadzorca“, zupełny brak młodzieży, urzędnicy barona niezyczliwi względem kolonistów i pełni formalistyki, — naogół jakaś apatja, świadcząca nie o rozkwicie kraju lecz o jego zamieraniu.

Spostrzeżenia p. Podliszewskiego mogły w swoim czasie (1907) zniechęcić budowniczych do dalszej pracy, dziś są one jeno historyczną reminiscencją z owych czasów szukania dróg i sposobów, — czasów, w których „praktyczni“ idealisci zmagali się z zimną rzeczywistością. Wielka

wojna, która stworzyła tyle nowych wartości, otworzyła oczy Europy na problem palestyński i dała impuls do organicznej pracy w Erec Izrael. I „pesymista“ Podliszewski kupił w nowej ojczyźnie i nowem mieście (Tel-Awiv) plac, zbudował dom i osiadł tam na stałe. Snać własnymi oczyma ujrzał szybki renesans kraju i pragnął się doń praktycznie przyczynić.

A pamiętniki z przed lat 20?! Dziś wolno je ogłosić bez obawy o przyszłość Kraju, więc je autor ogłasza jako dokument historyczny z okresu „szukania dróg i sposobów“.

MAJER BAŁABAN.

W Częstoniewie dnia 15.VII. 1927.

DO CZYTELNIKA

Kartki te stanowią wyciąg z pamiętnika, który pisałem przed 20-tu laty, w czasie mego pierwszego pobytu w Palestynie.

Nie poczyniłem tu prawie żadnych zmian. Pozostawiam fakty tak, jak mi się w wczas wraziły w pamięć, nie wyciągając z nich żadnych wniosków. Niech to czytelnik sam uczyni...

Moim zamiarem było przeciwstawić ówczesną Palestynę obecnej. Różnice są kolosalne. Dzieło nasze posunęło się naprzód: budujemy!...

Spotkanie z towarzyszem podróży Dr. Czlenowem, w Odesie

Po siódmym kongresie sjonistycznym, kiedy już wszelkie dyskusje na temat UGANDY były wykluczone, postanowiłem wraz z przyjacielem moim Dr. Czlenowem odbyć podróż do Palestyny. Chcieliśmy zobaczyć kraj, bliżej się zapoznać z tamtejszemi stosunkami i, co nie mniej ważne, odetchnąć pełnymi płucami powietrzem palestyńskim. Nie trudno nam bowiem było przewidzieć, że obecnie po zupełnej porażce zwolenników Ugandy, nastąpi w ruchu sjonistycznym zwrot ku metodzie „Chowewe-Zion“.* **Podstawą** całej pracy stanie się kolonizacja, a sjonizm polityczny nie będzie już odgrywał tak pierwszorzędnej roli jak dotychczas. Powyższe przypuszczenie wypowiedziałem nawet wówczas w wywiadzie, udzielonym żydowsko-angielskiemu czasopismu.

*) Metoda ta polegała na stopniowym kolonizowaniu Palestyny i ewolucyjnym tworzeniu siedziby żydowskiej od podstaw.

Wyjazd nasz powinien być nastąpić bez wszelkiego rozgłosu, chodziło o zachowanie jak największej tajemnicy. Takie było nasze postanowienie. Stosownie do poprzedniej umowy spotkaliśmy się dnia 21-go czerwca 1907 roku w Odesie. Przypominam sobie obecnie, że Usyszkin i Czlenow żyli wówczas w nieprzyjaźni, która się zrodziła jeszcze przed 6-ym kongresem. Kiedy bowiem Hercel przedstawił na posiedzeniu komitetu akcyjnego, przed wspomnianym kongresem, „projekt Ugandy“ znalazł w Czlenowie jednego ze swych gorących zwolenników. Dopiero później ochłódł w swym zapale i wpadł między t. zw. „neinsager“ i „płaczących“.*)

Usyszkin, który wówczas przebywał w Ereczrael, uważał ten przedwczesny zapal Czlenowa za „sprzeniewierzenie się ideałowi“ i nie mógł tego przebaczyć przyjacielowi lat dziecińczych. I tak wyrósł między dwoma dobrymi przyjaciółmi twardy mur nieprzyjaźni.

Na siódmym kongresie we Fryburgu Usyszkin prześladował Czlenowa niemal na każdym kroku, wskutek czego wytworzyło się bardzo przykre położenie. Dobroduszny Dr. Czlenow czuł się tem niepomiernie dotknięty. Owa nieprzyjaźń trwała jeszcze w czasie naszego przy-

*) W toku namiętnej dyskusji, jaką wywołał projekt Hercla, kilku rosyjskich sjonistów, przeciwników Ugandy, wybuchło głośnym płaczem.

jazdu do Odesy. Czlenow spotkał się z bardzo chłodnym przyjęciem ze strony Usyszkina, a przykry ten fakt zamącił poważnie naszą radość z powodu rozpoczęcia podróży.

W Y J A Z D.

Dnia 21-go czerwca opuściliśmy Odesę, zmierzając ku Konstantynopolowi. Towarzyszili nam: znany literat Lewiński, Dr. Sapir i Elija Berlin. Brakowało Usyszkina. Fakt ten gniewał bardzo Czlenowa tak, że nie omieszkał poskarżyć się przed odprowadzającymi nas towarzyszami na to, iż sprawa między nim a Usyszkinem przybrała charakter nawskroś osobistego zatargu.

— „Jest to gniew z domieszką bezustannej agitacji przeciwko mnie“— zwykł był mówić strapiiony — „czegoś podobnego nie spodziewałem się“. Poczem dodawał: „To są dopiero początki... Zamierza nawet zaatakować politykę Hercla i jego sjonistyczne poglądy... Doszły mnie wieści o podobnych rozmowach... Nowe czasopismo w języku rosyjskim, które mają wydawać w Odesie, jest właśnie przeznaczone na taki organ opozycyjny, zwalczający sjonizm Hercla... Dokonują się ciche przygotowania do przeprowadzenia rozłamu

w naszym ruchu... W powietrzu odczuwa się znowu oddawna znany zapach „chibat-sjonu“, który napewno wyrządzi znaczne szkody sjonizmowi, jako ruchowi, obejmującemu masy. W tem wszystkim znać rękę Usyszkina...”

Odprowadzający nas towarzysze milczeli. W międzyczasie wdał się ze mną Lewiński w pogawędkę, dotyczącą sprawy „Hacefiry“, która przestała wychodzić z przyczyn finansowych. Radził mi, bym stworzył w Warszawie Komitet i zwrócił się z odezwą do ogółu żydowskiego. Odezwę powinno naturalnie podpisać wiele wybitnych osobistości: działacze społeczni, filantropi i pisarze z Achad-Haamem na czele, a w ten sposób można by ponownie zapewnić egzystencję temu dziennikowi hebrajskiemu. Przysłuchiwałem się słowom Lewińskiego, a przed oczyma moimi kołysał się okręt, którego wysokie kominy lśniły się od jasnych promieni radosnego słońca.

W porcie było tłumnie i gwarno. Zewsząd uwijali się ludzie, jakby pogrążeni w marzeniach z paczkami i tłumokami w rękach. Tragarze portowi wykrzykiwali głośno, młodzi wojażerowie rozpychali się swemi zwinnymi łokciami. Jakieś usta całowały się gorąco, — jacyś ludzie wybuchali donośnym płaczem... Wsiadliśmy na okręt z wezbranem sercem.

W drodze do Konstantynopola.

Czy znacie owe uczucie zadowolenia, owe dziwne drżenia radości, towarzyszące człowiekowi udającemu się do Erec-Izrael? Sama świadomość, że oto poraz pierwszy jadę do ziemi naszych praojców podnieca i upaja moją duszę. Promienie słoneczne igrają sobie radośnie na falach morskich, na pokładzie okrętu i na twarzach podróżnych. Jasność, radość i słońce są wokół mnie i we mnie. Wśród wielkiej radości ogarnia mnie jednakże nagle smutek. Przypominam sobie, że niema tu ze mną mojej żony, która mi tak wiernie towarzyszyła w działalności sjonistycznej, dzielając moje poglądy i uczucia; niema też mego jedyne go syna, na którego nie szczędziłem wysiłków, by go wychować w duchu sjonistycznym. Ale trudno! Niema takiej siły, która by ich zdołała w tej chwili sprowadzić tu na okręt... pomyślałem — a mój stęskniony wzrok ponownie błąkał się po morzu, okręcie i ludziach, siedzących lub przechadzających się po pokładzie...

Zaczęły się już stopniowo zarysowywać kontury Konstantynopola. Zbliżyliśmy się do starożytnego grodu. Widnieją już na horyzoncie jego wspaniałe pałace, pogrążone w słońcu i zieleni. W tych oto budynkach mieszkają ambasadorzy państw europejskich — tam mieszczą się również owe tak liczne w stolicy Turcji instytucje europejskie, misje itp.

Z gracją i wdziękiem wpływa nasz okręt na niebieskie i przezrocyste wody Bosforu. Przeżywamy silne i głębokie wrażenia. Nikt nie odrywa oczu od Konstantynopola. Wysoka i okrągła kopuła meczetu Aja Sofji wznosi się potężnie ponad inne budowle, jakgdyby była władczynią tego miasta. Zwracało uwagę silne poruszenie wśród podróżnych Rosjan. znajdujących się z nami na pokładzie. Dziesiątki oczu płoną, nerwowo wyciągnięte ręce wskazują w kierunku kopuły meczetu. Stary Rosjanin, widocznie pielgrzym, o bogobojnym wyrazie twarzy, westchnąwszy typowo „po prawosławnemu“, powiada: „Tak to była ongiś cerkiew rosyjska!“ „I powinna ponownie zostać cerkwią prawosławną!“ — dodaje drugi, wskazując na olbrzymi meczet. — „Tak się też stanie!“ — mówi cicho, lecz z głębokim przeświadczeniem trzeci. Przypatruję mu się: jest to wysoki, sędziwy mężczyzna z ładnie przystrzyżoną bródką i w okularach. Należy prawdopodobnie do ambasady rosyjskiej w Konstantynopolu.

Mimowoli przychodzą mi na myśl święte ruiny Jerozolimy: tak, i one muszą stać się naszymi, bezwzględnie naszymi!

W STOLICY TURCJI.

Okręt zatrzymał się. Na pokładzie powstało zamieszanie, wrzaski i krzyki. Jedni chwytają za

tłumoki, inni drą się w niebogłoso. Zewsząd nadbiegają jakieś zdenerwowane postacie, pędzące z kajut na pokład okrętu i z powrotem. Niewielka łódź, która podpłynęła do nas z brzegu, wyrzuciła na okręt niespokojny tłum tragarzy, pośredników hotelowych i wszelkiego rodzaju „agentów portowych“. Zamieszanie wzmagają się wskutek nieustannych kłótni tragarzy, pośredników i komwojażerów. Mają jeszcze jakieś stare porachunki i znaleźli tu widocznie najodpowiedniejszą do ich załatwienia sposobność... Wśród hałasu i zgiełku wsiadamy nareszcie do małej łodzi, która nas przewozi na brzeg. Powitali nas rabin aszkenazyjski Dr. Markus i obecnie sędzia w Tel-Awiiwie, a wówczas student Uniwersytetu w Konstantynopolu p. Nofech. Następuje wzajemne ściskanie dłoni, pytania i odpowiedzi, a twarze uśmiechają się już po palestyńsku... Na brzegu wita nas Dr. Welitsch, współpracownik Hercla w Konstantynopolu, zarazem jego tłumacz na dworze sułtana i u innych mężów stanu. Jakiś galicyjski Żyd, którego nazywano poprostu Rabi Szmijl, zajął się naszym bagażem i innymi drobiazgami. O tym Rabi Szmijlu wyrażano się zawsze podejrzliwie, posądzając go o różne nieczyste zarobki, a nawet o szpiegostwo... Obawiano się go jednak bardzo i właśnie z obawy przed nim nastęrczowano mu zarobki...

Zamieszkaliśmy w hotelu „London“. Dr. Welitsch starał się dla nas o pomieszczenie bez

drzwi, prowadzących do dalszych pokojów. Panuje tu widocznie wielka obawa przed szpiegostwem i donosicielstwem, zachodziło przeto podejrzenie, że nas może ktoś podsłuchiwać. Dr. Welitsch zwrócił nam też natychmiast uwagę: — „Tutaj roi się od szpiegów i donosicieli. Należy się mieć na baczności i liczyć się ze słowami“ —. Mówiąc oglądał się na wszystkie strony, jakgdyby nie ufał ścianom i oknom. — „U nas i mury mają uszy“ — pomrukiwał zdenerwowany. Kiedy później przybył Dr. Markus rozmawialiśmy niemal szeptem, z zapartym oddechem i porozumiewając się oczyma, jak prawdziwi spiskowcy.

Omawiano naturalnie sprawy, dotyczące polityki sjonistycznej. Przy tej sposobności opowiedział nam Dr. Markus, w jaki sposób wręczył rosyjskiemu ambasadorowi Zinowjewowi list od Plewego, przesłany mu przez Hercla. — „Stary, schorzały Zinowjew nie mógł pohamować swojej złości i przyjął mnie z niechęcią“ —. Nie mogliśmy sobie pozwolić na dłuższą rozmowę — wszak należało zachować pod tym względem powściągliwość.

Dopiero wieczorem, w czasie wizyty złożonej Dr. Welitschowi, mówiono nieco swobodniej. Dr. Welitsch wraz z żoną żalili się bardzo na nienależyte ocenianie ich pracy i zasług dla ruchu sjonistycznego. — „Pracuję nieustannie i wytrwale“ — mówił — „a zaufanie do mnie jest dość słabe,.. nie mogę spokojnie tego znieść!“ — Skarzył się również na dyrektora banku sjonistycz-

nego, który nie posiada należytego zmysłu politycznego i na Kahana z Wiednia, byłego członka ścisłego komitetu wykonawczego. Bawiąc w Konstantynopolu w ważnej misji nie umiał się Kahan należycie ubrać. Nosił ubranie, nie odpowiadające zajmowanemu przezeń stanowisku, a jego białe mankiety były nieco za długie. Nadmiar złego spoufalili się w jakiejś żydowskiej restauracji z nazbyt demokratycznymi gośćmi. Pewnego razu np zachciało mu się zjeść z nimi tradycyjny obiad i śpiewać razem „zmirot“*). Pozatem nie był należycie konspiracyjnym. — Wszak to Konstantynopol — konkludował Dr. Welitsch z nietajonym bólem — „wszystko ma tu uszy!“ — Owa rozmowa obudziła we mnie nagły strach i obawę. Nastrój pogorszył się znacznie.

Później wpadliśmy niefortunnie do cukierni, gdzie przygrywał ochrypłym głosem gramofon. Wypluwał chorobliwie jak suchotnik jakieś żałobne jeremjady, przypominające żalną melodję pieśni, śpiewanej na weselu żydowskim przy nakrywaniu welonem głowy narzeczonej. Na duszę naszą osiadł ciężki smutek.

Wyszedszy na ulicę grzęźliśmy w błocie i brudzie, jakgdybyśmy się znajdowali w jakiejś zapadłej mieścinie po jarmarku. Na każdym kroku napotykalismy zgłodniałe psy z wyciągnięte

*) Pieśni religijne.

mi jezorami. Po ulicach uwijały się tłumy ludzi w różnobarwnych strojach. Do uszu naszych dochodziły krzyki, wrzaski i dziwnie brzmiące wołania w najrozmaitszych językach. Przykre usposobienie nie mijało.

Nazajutrz wypadło nam zwiedzić towarzystwo „Karmel“ i tutaj gawędziło się trochę z kierownikami przedsiębiorstwa p. p. Reizmanem i Freimanem. Doszedłem do przekonania, że „Karmel“ byłby intratnym interesem, gdyby go prowadzono na zasadach czysto kupieckich bez agitacji i polityki, które zawsze prowadzą do protekcjonizmu i podkopują byt materialny przedsiębiorstwa.

Obiad jedliśmy w restauracji tureckiej. Menu jest tutaj bardzo ubogie i jednostajne. Nie zmienia się prawie nigdy. Zawsze ta sama pieczeń barania i jakaś zielenizna w oliwie. Załatwiliśmy się szybko z jedzeniem, mając zamiar zwiedzić meczet św. Sofji, którego kopuła wznosi się nad Konstantynopolem.

Nie wpuszczono nas jednak do wnętrza świątyni. Znalazły się jakieś przeszkody, ale był to najzwyczajniejszy pretekst, by nam delikatnie i grzecznie odmówić. Nie pomogło wstawiennictwo D-ra Welitscha, nawet czerwona fezka jego nie zrobiła wrażenia. Co jednak najciekawsze, że tym razem nie poskutkował ów najradzykalniejszy środek: bakszusz...

WIZYTA U HAKI-BEJA

Zgniewało nas to porządnie, ale ostatecznie mieliśmy w Konstantynopolu jeszcze pozatem wiele innych ciekawych do obejrzenia rzeczy. Ponieważ Dr. Czlenow był członkiem Rady Naczelnej („Aktion-Komitet“), ja zaś przewodniczącym komisji rewizyjnej tego komitetu, — zaprowadził nas Dr. Welitsch do Haki-Beja, który się zajmował kwestją sjonistyczną. Zanim nas Haki-Bej przyjął, wprowadzono nas do wielkiej komnaty, wysłanej dywanami. Wokoło stały przy ścianach miękkie kanapki i to stanowiło całe umeblowanie poczekalni.

Dwaj kawasi w szerokich i barwnych spodniach potraktowali nas moka, a Welitsch, który skrupulatnie przestrzegał przepisów etykiety tureckiej, zwrócił nam uwagę, że należy kawę tę wypić. Nadpijać powinno się z „poczuciem muzykalności“, to znaczy, iż każdy łyk nie śmie przejść bez echa. Tego wymaga bon-ton turecki. Po wypróżnieniu małych filiżanek z mocną kawą ustawiliśmy je na podłodze pod naszymi ławkami — tak nakazywał widocznie turecki zwyczaj towarzyski. Następnie weszliśmy do Haki-Beja. Przywitał nas bardzo uprzejmie przystojny i uśmiechnięty brunet, z błyszczącymi oczami,

ubrany po europejsku, ale z czerwoną fezką na głowie. Był to Haki-Bej. Po krótkiej wstępnej rozmowie radził nam, byśmy rozpoczęli kolonizację Syrii, zadawalniając się w Palestynie tylko nielicznymi kolonjami, rozrzuconymi po całym kraju. Rozumie się, że do Haki-Beja nie sprowadziła nas chęć zasięgnięcia rady, lecz najzwyczajniejsza ciekawość. Skoro już człowiek zwiedza nieznanne kraje, chciałby poprostu wszystko widzieć i o wszystkim słyszeć.

Po wizycie u tej znakomitości tureckiej udaliśmy się do dzielnicy żydowskiej, która się niczem nie różni od innych ubogich okręgów Konstantynopola. Uliczki są brudne i opuszczone, domy przypominają raczej ruiny, ale wewnątrz jest czysto. Po drodze zajrzeliśmy do „Talmud-Tory“, gdzie Dr. Markus nauczał. Widok dzieci nie pozostawia miłego wrażenia: na białych twarzach malowała się bieda, a ruchy zdradzały jakąś leniwą ospałość. Przy tej okazji wygłosił Dr. Czlenow przemówienie sjonistyczne do dzieci i nauczycieli.

D A L S Z E W Ę D R Ó W K I

P O K O N S T A N T Y N O P O L U

Nazajutrz rano zwiedziliśmy w towarzystwie rodziny Welitscha dzielnicę Principior. Mieszkańcy rekrutują się tu z warstw zamożniejszych, częściowo nawet bardzo bogatych. Zwraca uwa-

gę kilka pięknych pałaców, skąpanych w promieniach południowego słońca. Ich architektura jest mieszaniną stylu tureckiego z greckim. Tę swoistą syntezę wyczuwa się w całym życiu kulturalnym: pierwiastki tureckie, greckie z domieszką niemieckich. Jest to może więcej niż domieszka — znać tu we wszystkim silne wpływy niemieckie. Oto nadchodzi grupa uczniów i uczennic niemieckich ze swymi nauczycielami i nauczycielkami. Mówią i śpiewają po niemiecku tak, że mamy wrażenie, iż się znajdujemy w kolonii niemieckiej. Przypominam sobie, iż kolej bagdadzka znajduje się również w posiadaniu sprytrich Niemców. Ekspanzja niemiecka jest tu wogóle silna: głośno i dobitnie dźwięczy w tych stronach słowo niemieckie.

Pomimo tak licznych wizyt i spacerów nie zmęczył nas Konstantynopol zbyt. Pragnęliśmy bowiem usilnie ze wszystkim się zapoznać — nasycić wzrok widokiem dzielnic i typów konstantynopolskich, przeniknąć myślą cały splot problemów tamtejszego życia zarówno żydowskiego jak i nie-żydowskiego.

Tak więc wypadło nam odwiedzić wraz z Dr. Markusem Chachama-Baszę *) sefardyjskiego, poważanego starca, który nas przyjął siedząc po turecku na kanapie z nogami założonemi pod siebie. Jego zdaniem powinny były liczne gminy żydowskie

*) Naczelny rabin gminy Żydów hiszpańskich.

z rabinami na czele, zwrócić się z prośbą do sułtana (naturalnie za pośrednictwem Chachamba-
baszy), by im pozwolił mieszkać na całym ob-
szarze Turcji nie zaś wyłącznie w Palestynie.
— „Dlaczegożby tylko w Erec-Izrael“ — pytał w
sefardyj kiej hebrajszczyźnie — „w całym państwie
jest dobrze, wszędzie mogą Żydzi mieszkać.“ —

W Stambule *) wzbudziły nasz zachwyt ol-
brzymie sklepy i magazyny. Tu mieszczą się najwięk-
sze składy towarów ze wszystkich, jakie się znajdu-
ją na terytorjum Turcji i Małej Azji, a nawet po-
zostałych sąsiednich krajów. Wielkie przedsię-
wzięcia hurtowe należą po większej części do
Greków i Ormian. Sprzedają konfekcji męskiej
zajmują się częściowo Żydzi. Sklepy żydowskie
znajdują się w Galacie i Haskenu, gdzie na
wszystkiem cięży jakaś martwa senność. Ludzie
rozmawiają tu drzemiąc, poruszają się jakby uśpieni,
a nawet towary swe sprzedają pogrążeni w leni-
wej drzemce. Wlecze się tu wolno drobny han-
del gotowemi ubraniami i obuwem. Natomiast
w Stambule panuje niezwykle ożywienie. Kipi tu
jak w kotle. Wielkie wystawy sklepowe, przepel-
nione towarami, obwieszczają krzykliwie ogromną
ilość przeprowadzanych obrotów i obfitość osią-
ganych zysków.

Udało nam się wkońcu zwiedzić meczet.
Weszliśmy w czasie nabożeństwa. Melodje mod-

*) Przedmieście handlowe Konstantynopola

litw w zupełności przypominały nam dźwięczne zawroźenia w bóżnicach żydowskich. W tych kompozycjach modlitewnych wyczuwało się coś swojskiego, coś bardzo bliskiego, pomimo chłodu, jaki panował w muzułmańskiej świątyni.

Przed bramą meczetu stał policjant. Chcieliśmy go, stosownie do zwyczaju tureckiego, obdarzyć napiwkim. Był jednak bardzo wytworny i nie chciał przyjąć — fakt, który należy zapisać złotemi zgłoskami w niepozabawionych ciemnych plam dziejach policji tureckiej.

Obecnie zapadła jednomyślna uchwała sfotografowania się. Do fotografa wybrało się towarzystwo złożone z Dra. Welitscha, jego żony i córki, Dra. Markusa, Neufecha i jego żony, D-ra Natansona z żoną, D-ra Czlenowa i mnie. Po drodze przyłączył się do naszego towarzystwa pewien znany nam młody człowiek, który widocznie również chciał zostać uwiecznionym na zbiorowej fotografii. Był on dawniej sekretarzem Wolfsona w czasie pobytu tegoż w Konstancy opolu. Nie mieliśmy naturalnie nic przeciwko temu, by ów młody człowiek wcisnął się w naszą grupę. Dr. Markus nie chciał jednak w żaden sposób do tego dopuścić tak, że doszło do małego skandaliku, wskutek czego wyproszone młodzieńca za drzwi. Okazało się później, że całe to przykre zajście miało podkład osobisty. — Dr. Markus żywił złość do naszego wyproszone-

go gościa, gdyż nie wyrównał mu należności za wyswatanie go.

Małostkowe, groszowe interesy i małostkową, groszową politykę, jakby gdzieś na zapadłej prowincji, w jakiejś małej, ubogiej i nieoświeconej gminie żydowskiej, obserwowaliśmy w Konstancy-nopolu na każdym kroku. Można było zauważyć ową małostkową politykę także u fotografa w chwili, gdy należało usadowić się do zdjęcia.

Przy zajmowaniu miejsc wytworzyło się natychmiast pojęcie miejsc mniej i więcej honorowych i zaczęło się ciche dyplomatyczne przesuwanie w kierunku zaszczytnych krzeseł. Podobna do powyższej scena rozegrała się w restauracji, dokąd nas zaproszono na obiad. I tutaj związane zaraz wysokość zajmowanego stanowiska z miejscem, które należało zająć przy stole. Byliśmy tu tylko gośćmi, więc z konieczności należało nam wyłącznie przyglądać się i milczeć. Po obiedzie zapytał mimochodem Dr. Czlenow naszego restauratora: — „Jaki ukłon oddać w pana imieniu Palestynie?” — Nie namyślając się długo odpowiedział właściciel restauracji: — „Powiedz im pan, że można u mnie dostać najlepsze potrawy“... —

Tęcza dnia jeszcze opuściliśmy Konstancy-nopol. Odprowadzało nas całe towarzystwo. Przed odjazdem wręczono nam kwiaty: Dr. Czlenowowi — pani Welitsch, mnie — pani Neufech.

DO OJCZYSTYCH BRZEGÓW...

Okręt francuski „Messageri“ pruł lekko i zwinnie fale morskie, wioząc nas do Erec-Izrael. Serce znów silniej zabiło: święty kraj naszych praojców zbliżał się ku nam coraz bardziej. Okręt miał cztery klasy — odwiedziliśmy wszystkie, skrupulatnie szukając Żydów.

W czwartej klasie zwrócił naszą uwagę Żyd z Kutaisu, mieszkający już od lat dwunastu w Jerozolimie, gdzie ma własną piekarnię. Wyemigrował do Palestyny po pogromie z kapitałem tysiąca rubli. Czuje się niezłe w Erec-Izrael. Panuje tam spokój, człowiekowi nie grozi obawa pogromów. I na utrzymanie zarabia się niezgorsza.

Inny Żyd, mieszkający stale w Konstantynopolu, odprowadza chłopczyka-sierotę do Jerozolimy. Chce go tam oddać do jakiejś szkoły. Żydówka galicyjska z Konstantynowa wiezie małą dziewczynkę, sierotkę do Jerozolimy. — „Biedne dziecko“ — powiada — „oddam je do domu sierot.“ — W tym samym domu sierot ma ona od czterech lat syna, obecnie chce go stamtąd wypisać i wrócić z nim do Galicji. Robi widocznie zamianę: pozostawia dziewczynkę, a zabiera chłopca.

Wszyscy niemal Żydzi, jadący z nami okrę-

tem francuskim, robią wrażenie ludzi bardzo tępych, albo raczej jakichś martwych istot. Dobroduszny Dr. C lenow zapytuje jednego z żydowskich pasażerów: — „Ojczy, słyszeliście coś o D-rze Herclu?“ — Ten zaś odpowiada: — „Słyszałem co prawda, ale nie wiem, co to za jeden... —“ — „A o tem, że istnieje bank żydowski, wiecie cokolwiek?“ — egzaminuje go Czenew w dalszym ciągu. Odpowiedź brzmi: — „Słyszałem co prawda, ale nie wiem dokładnie, co to ma znaczyć...“ — Ten Żyd pochodzi nawet z Erec-Izrael, ale jest bardzo tępy i nie wie o niczem, Trudno mu np. pojąć, do czego zdąża kolonizacja żydowska. Wie wprawdzie o istnieniu kolonij żydowskich, że mieszkają tam i pracują różni Żydzi, lecz nic poza tem.

W SMYRNIE I NA SAMOS

Okręt nasz staje w Smyrnie. Zostaniemy tu przez kilka godzin — należałoby przeto obejrzeć miasto. Zwracamy się do napotkanego hotelarza żydowskiego, który tu już mieszka od lat dwudziestu, z propozycją, by nas oprowadzał po Smyrnie, wzamian za co otrzyma 11 franków. Żyd zgodził się na tę sumę, ale nas oszukał. Pokazał nam tylko niewielką część tego ciekawego miasta, prowadząc nas jako przewodnik tam, gdzie mu było wygodnie i dokąd mu się podobało. Doszedłszy do przekonania, że przy

tego pomocy niewiele zobaczymy, zaczęliśmy się go wypytywać o szczegóły, dotyczące tutejszego życia, które nas bardzo ciekawiło. Opowiadał, że w Smyrnie mieszka około siedmiu tysięcy Żydów — większość sefardów — trudniących się przeważnie handlem. Znajduje się tu również trzydzieści rodzin żydowskich z Rosji. Wiedzie im się źle, gdyż zajmują się głównie rzemiosłem, z którego się z trudem utrzymują. Od naszego informatora dowiedzieliśmy się, że zdarzył się tu niedawno wypadek, iż pewien Turek obraził Żyda dlatego, że jest sjonistą. Ów mahometanin miał mu powiedzieć: „Wyrznie się was, jak cielecia — popamiętacie nas!” „Sprawa ta doszła do uszu Chachama-Baszy, który oskarżył Turka przed gubernatorem smyrneńskim. Gubernator zavezwał do siebie Turka, skarcił go ostro, grożąc mu, iż jeśli się stanie Żydom coś złego w Smyrnie, to on za to będzie odpowiadał. Mahometanin wyszedł od gubernatora mocno zażenowany i spuścił zupełnie z tonu.

Komendant policji w Smyrnie jest Żydem — istnieje również pewna ilość żydowskich policjantów. Na tem kończą się informacje, udzielone nam przez żydowskiego „przewodnika smyrneńskiego”.

*

*

Okręt podniósł kotwicę i wypłynął znowu na pełne morze. Pogoda sprzyjała. Przed nami: słońce i niebiosa, słońce i morze. Oko szuka mimowoli na horyzoncie owych szczytów górskich, znanych nam z Tenachu. „Messageri“ zatrzymał się ponownie przy wyspie Samos. Mieszkają tu wyłącznie Grecy. W r. 1832 wywalczyli sobie samorząd, a sułtan turecki wyznaczył jako gubernatora księcia greckiego. Na wyspie znajduje się tylko załoga, złożona z 200 żołnierzy tureckich i 80 żandarmów. Nie są to cyfry, któreby świadczyły o zbytnej wojowniczości. Samos eksportuje wyłącznie wino muszkatowe do Europy. Oprócz tego znajdują się tu fabryki papierosów. W pogodnych miesiącach roku stanowi ona miejsce letnich wyczasów mieszkańców Smyrny i okolicy. Na wyspie tej niema wogóle Żydów.

O godzinie 3-iej popołudniu popłynęliśmy do Bejrutu. Droga — prześliczna: z prawej strony ciągną się przed nami góry Samos, a z lewej góry Anatolji. W trzeciej klasie natrafiłem niespodzianie na brata mego klienta z Baku, Żyda sefardyjskiego, imieniem Kurdźwili. Opowiada mi, że w Baku napadli nań bandyci i zabrali mu 17 tysięcy rubli. Przejęty strachem obawiał się nadal pozostawać w mieście rodzinnem i wyjechał z małym braciszkiem do Erec-Izrael. Wyglądem swym przypomina Turka, a nawet, zwyczajem tureckim, trzyma sznur koralu, bawiąc się

nim. Spotkałem również Żyda z Chersonu, starszego, 70-io letniego człowieka. Był dawniej kolonistą na Cyprze. Ponieważ nie wiodło mu się dobrze, przeniósł się więc do nowej kolonji w Egipcie, gdzie pracowało z nim jeszcze dwadzieścia pięć osób. Natrafili jednak na nieurodzajną ziemię i na nieznośne warunki tak, że pobyt w kolonji zamienił się dla nich na prawdziwą katorgę. Nie mając innego wyjścia, część kolonistów wyjechała do Ameryki, a pozostali rozjechali się w różne strony świata. On natomiast postanowił wraz z przyjacielem osiedlić się w Jaffie i tam zakupić hotel.

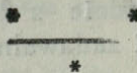
Wszyscy tu napotkani robią wrażenie ludzi, pozbawionych jakiegokolwiek stałego oparcia: każdy poszukuje czegoś, nie wiedząc sam zresztą, co pragnąłby znaleźć. A jeśli który z nich zrobi jakiś interes, to nie posiada on znów żadnych podstaw trwałości, gdyż cały byt tych ludzi jest zawieszony w powietrzu.

BEJRUT

W Bejrucie zastaliśmy Wiktora Jakobsohna, dyrektora banku anglo-palestyńskiego, w towarzystwie D-ra Magnusa z Ameryki, który również w tym czasie zwiedzał Palestynę. Jakobsohn zaznajomił nas dokładnie z działalnością banku. Stan jego nie był zadawalniający. Bank robił

złe interesy, co było winą, jak nam Jakobsohn wyjaśnił, dyrektorów żydowskiego banku kolonialnego. Przekazują wogóle bardzo mało pieniędzy na Palestynę, a jeszcze mniej na Bejrut. Zapytałem ze zdziwieniem, czemu przekazują tak mało pieniędzy. Odpowiedź Jakobsohna brzmiała: — „Mają słabe zrozumienie dla Palestyny, — chętniej wydają swe pieniądze zagranicą—“. — „Na Boga! — zawołałem — „czyż Wolfsohn, Lewontin i Dr. Katzenelsohn nie są zwolennikami Erec-Izrael?! Nie mielibyż oni zrozumienia dla potrzeb odbudowy kraju?“ — Muszę jednak przyznać, że do dziś dnia nie rozumiem tych objaśnień, jakich mi wówczas silnie zdenerwowany Dr. Jakobsohn w tej kwestji udzielił.

Wraz z Czlenowem i Magnusem zwiedziliśmy freblówkę — zakład wychowawczy dla dzieci do lat sześciu. Dziewczątka bawiły się tu bardzo wesoło, mówiąc przytem niezłe po hebrajsku. Z kolei wypadło nam bliżej poznać szkołę koedukacyjną „alliance Israelite“, która zrobiła na nas bardzo dodatnie wrażenie. W nauczaniu języka hebrajskiego posługiwano się tu metodą „hebrajskie po hebrajsku“ (iwrit b'iwrit), co odpowiadało zupełnie dzieciom, urodzonym w koloniach palestyńskich.



Okręt nasz posuwa się w dalszym ciągu na-
przód wśród spokojnych wód morskich. Zbliża-
my się do Jaffy, jest nas już teraz trzech: Dr. Cze-
now, Dr. Magnus i ja. Z oddali wyłaniają się na ho-
ryzencie: Jaffa i Emek-Plisztim. I znów zabiło głoś-
niej serce i stają jak żywe słodkie wspomnienia lat
dziecinnych, kiedy wczytany w Bibliję utrwalałem
w mej pamięci nazwy gór, dolin i miast pale-
styńskich.

Jaffa nie robi jednak zdaleka tak silnego
wrażenia jak Konstantynopol, Smyrna i Bejrut.
Wobec tych olbrzymów jest ona czemś skurczon-
em, małym i biednym. Ale przecież jest to
Erec-Izrael, a tem samem ma ona przewagę nad
najpiękniejszym miastem na świecie!

Grupa wybitnych osobistości wita nas na
brzegu: Szmarjahu Lewin, Mordchaj ben Hilel
Hakohen, Dr. Chisin, bliski przyjaciel D-ra Cze-
nowa, Szejnkin i Lewon, dyrektor banku. Po-
witanie — bardzo serdeczne, silne uściski dłoni,
pełne radości i zachwyty słowa, a co najważniej-
sze, wszystko to ma jakiś swoisty posmak pale-
styński. Zajechaliśmy do hotelu „Kameniec“ w
prawem centrum Jaffy.

J A F F A

Jaffa jest miastem bardzo brudnem. Domostwa — brudne; wąskie uliczki przypominają podwórka. Zewsząd przeciskają się i rozpychają Arabowie na swych chudych osiołkach, najeżdżają na tłum przechodniów, tłoczących się wśród murów ciasnych uliczek, nie wywołując z ich strony żadnego protestu. Jakiś wysoki, leniwy Arab siedzi na małym osiołku, podobnym do cielątka, a nogi włóczą mu się niemal po ziemi. Odnosi się wrażenie, że jest mu zupełnie obojętne, dokąd go osiołek poniesie. Dość, że idzie i przeciska się jak pies przez zwarte masy ludzkie. Przy małych nawpół zapadłych sklepikach i cukierniach siedzą starzy Arabowie na małych krzeselkach i pociągają leniwie z nargilji. W ciasnych, brudnych i gwarnych uliczkach Jaffy panuje niezwykły upał. A nowy przybysz, który przyjeżdża ze wspomnieniem pięknych obrazów i serdecznych tonów Biblii, musi tu natychmiast oziębnąć i ulec przykreemu rozczarowaniu. „Wszak inaczej to sobie wyobrażałem“ dokucza mu myśl. „Jakże nie harmonizuje z wymarzonem pięknem przyrody palestyńskiej otaczająca ją niemila powszedniość!“ A sam „Hotel Kameniec“ również nie budzi zachwytu. Przypomina on raczej jakiś zapadły zajazd w miasteczku litewskiem przenie-

siony na grunt palestyński cudem albo z biedy (która niejednokrotnie tworzy cuda). Uwijają się tu mężczyźni i kobiety, a zewsząd rozbrzmiewa litewskie twarde „jidysz“. Omawiając różne interesiki, przeprowadzają „tranzakcje“ jabłkami rajskimi („etrogim“) i gałązkami palmowymi („lulawim“) itp. produktami, eksportowanymi dla celów religijnych z Palestyny. Przy tem wszystkim głośno ziewają, poczem pogrążają się w lekką drzemkę, budząc się po chwili raptownie, jakby wskutek oparzenia, po to, by znów wrócić do tych, nie realnych interesów — i tak bez końca. Drzwi zaś zajazdu ani na chwilę się nie zamykają: ci gde ktoś wchodzi i wychodzi. Jakiś chudy „meszulach“ (delegat) jednej z gmin żydowskich na Litwie, kręci się po zajęździe. Taki typ jest tu częstem zjawiskiem. W głębokiem zamyśleniu kroczy od ściany do ściany, rozważając widocznie jakieś „sprawy poselskie“, przyczem głaszcze raz po raz swą małą bródkę. Szmarjahu Lewin, który nie znosi tego rodzaju zajazdów, był zmuszony zamieszkać w hotelu niemieckim. Przeżywałem w tych chwilach dziwne uczucie: pojechaliśmy szukać święteczności w Erec-Izrael, a wpadliśmy w jarzmo beznadziejnej powszedniości.

Odwiedzają nas różne osoby z miasta i pobliskich kolonij. Znów powitania, wymiana słów lub krótkie rozmowy. Dr. Czlenow żywo się interesuje zarobkami kolonistów. Według obliczeń Eizenberga z Rechowot trudno wyżyć z samej

uprawy winogron. Rachunek jest bardzo prosty. Za „kantare“ winogron płaci się 15 franków, a koszta jej wraz z podatkami wynoszą 12 franków. Stopniowo poznajemy tutejsze stosunki i tryb życia mieszkańców. Zwiedzam bank „Anglo-palestyński“. Wrażenie nie najlepsze. Szara uboga instytucja. Na ścianie widać obraz króla angielskiego, a przy nim portret Hercla, zaś po bokach fotografie Wolfsohna i innych dyrektorów banku. Personel — nieliczny. Pracują tu również dwie kobiety — jedna z nich jest p. Tritsch. Trudno zataić prawdę: zakładu tego nie opuszcza się z uczuciem nadziei. P. Dizenhof jest zarządcą towarzystwa „Geula“. Skarży się przede mną, że zakupił dużo ziemi, a teraz nie może znaleźć odbiorców na rolę. Również „Ica“, posiadająca około 120 tysięcy dunamów ziemi nieuprawianej, szuka napróżno nabywców. Nikomu się nie uśmiecha uprawa roli. W wolnej Przestrzennej Palestynie brak jakos powietrza.

* *

*

Oto przybywają do Czlenowa chorzy nauczyciele z „Bejth-hasefer“. Każdy z nich prawie cierpi na nos albo na gardło. Dobrotliwy Dr. Czlenow bada ich skrupulatnie i zapisuje każdemu lekarstwo. Niektórym robi nawet niewielkie operacje. W Palestynie niema specjalistów

do chorób gardła i uszu. Nauczyciele są przeważnie sceptycznie usposobieni. Nie wierzą w przedsięwzięcia i interesy palestyńskie. Uważają to tylko za kpiny, a Szejnkin nie może im tego przebaczyć. Jest na nich bardzo oburzony. Twierdzi, że przy należytych wysiłku może się Jaffa stać również miastem handlowym z tak pełnymi magazynami, jak np. Bejrut. Jaffa i Jeruzolima mogą się stać śpichlerzami Palestyny. Należy tylko z energią przystąpić do nowych przedsięwzięć. Powinno się pracować z wysiłkiem, odważnie, nie zaniedbywać importu towarów pożądaných w Palestynie, — słowem — należy pracować, pracować, i pracować! Szmardjah Lewin jest również zachwycony Palestyną — jego podziw dla kraju nie daje mu wprost spokoju: „Widzicie“ — powiada — „tutaj, jeśli się rzuca ziarno nawet na skałę, rozwija się ono i wyrasta jako drzewo oliwkowe. Nawet kamienie są tu urodzajne. „W rezultacie jednak mamy więcej słów niż konkretnych czynów.

ROCZNICA ŚMIERCI HERCLA.

Przypada rocznica śmierci Hercla. Idziemy więc na uroczystość żałobną. Po drodze następuje niemiłe spotkanie z inżynierem Wilbuszewiczem z Hajfy, który wybudował „Atid“. Zagadaliśmy go, czy udaje się również na uroczystość herclowską. Odpowiada nam, że nie weźmie w niej udziału z przyczyn zasadniczych. Czlenow nie może pohamować swego gwałtownego oburzenia. Cóż można jednak w tym wypadku powiedzieć, skoro człowiek ten nie idzie... z przyczyn zasadniczych. Zaś na uroczystym zebraniu, gdzie należało uczcić pamięć Hercla, wytwarza się atmosfera wiecowa. Ludzie dyskutują wykrzykując donośnym głosem. Po żałobnym przemówieniu Czlenowa wchodzi na trybunę Dr. Kahan z Kiszyniowa i polemizuje z Czlenowem. Za jego przykładem idą inni. Odzywają się głosy: „Gdybyśmy zamiast dziesięcioletniej akcji politycznej raczej budowali kolonie lub miasta, byłoby się nasze dzieło posunęło znacznie naprzód. Mielibyśmy gęstą sieć kolonij z liczną i aktywną ludnością. Polityka sjonistyczna pochłonęła realną pracę palestyńską!“ Tak gwarzono, przemawiano i wykrzykiwano w czasie rocznicy śmierci Hercla.

Iegoż wieczora zaprosił nas Lewontin na herbatkę. Wywiązała się ponownie rozmowa o kolonjach. Na wstępie rzucono pierwsze zasadnicze pytanie:

W jaki sposób powstają np. nowe kolonje?

Lewontin, Dizenhof i Sapir, wicedyrektor banku anglo-palestyńskiego, twierdzą uporczywie że odczuwa się brak robotników rolnych. Wielkie, przez kilometry ciągnące się obszary ziemskie, leżą odłogiem: nikt ich nie chce uprawiać. Rola czeka utęskniona na odpowiednie ręce robocze, a tu zdaje się, niema wprost amatorów na tego rodzaju pracę.

Szejkin nie podziela ich zdania. Twierdzi wręcz przeciwnie, przekonany o słuszności swych poglądów: istnieje mnóstwo chętnych do pracy, znam setki młodych robotników, którzyby się z całym zapałem oddali rolnictwu, główną natomiast przeszkodę stanowi właśnie fakt, że nie chcą im dać ziemi.

Wśród dyskutujących daje się zauważyć silne zdenerwowanie i rozgorączkowanie. Jedni starają się mówić głośniej od innych, jakby ich chcieli po prostu przekrzyczeć. Jedna strona broni poglądu: „Istnieją obszary nieuprawianej ziemi, tylko brak miłośników pracy rolnej“. Inna stoi na wręcz przeciwnym stanowisku: „Jest aż nadto rąk roboczych, ich dobre chęci załamują się jednak wobec braku ziemi“. Na takich dyskusjach upływa kilka godzin.

Późną nocą skończyła się herbatka u Lewontina. Przed odejściem powiada mi Lewontin, iż Palestynie dokucza brak fachowców. Bardzo np. na tem cierpi bankowość, w której się jest zmuszonym posługiwać się nauczycielami.

Między innymi odwiedziliśmy również D-ra Kahana z Kiszyniowa, który uciekł stamtąd do Palestyny zaraz po opuszczeniu więzienia. Zamieszkuje cztery obszerne i wysokie pokoje z werandą. W tem elegancko urządzonej mieszkanie jest dużo wolnej przestrzeni i panuje w nim miły chłód. Wokół domu rosną wysokie i cieniste drzewa tak, że promienie słoneczne przedostają się do wnętrza tylko przez liściaste gałęzie, rzucając cień na piękne i gustownie rozmieszczone meble. Całość robi bardzo dobre wrażenie.

Zapytuję małżonki D-ra Kahana, czy jest zadowolona z Palestyny po wszystkich przeżyciach w Kiszyniowie. Pani Kahan milczy przez kilka minut, namyśla się, poczem mi odpowiada: „Niestety, mój panie, warunki życiowe są tutaj tak ciężkie, iż niepodobna ich poprostu znieść. Nie można np. dostać służącej, a o służbie żydowskiej niema wogóle mowy. Nadmiar złego ma się tu niezwykle trudności z wodą, zaś kurz gryzie w oczy i osiada na płucach“. Dr. Kahan zagłębił się w rozmyślaniach, a twarz jego nagle spochmurniała. Gdy zaś żona weszła do drugiego pokoju, odezwał się do mnie szeptem: „Bóg

wie, czy zdołamy tu wytrwać. Mam, chwalić Boga, praktykę taką, że sam mógłbym się tem życiem zadowolnić, ale dla gospodyni są tutejsze warunki nie do zniesienia. W takie oto upalne dni, jak dzisiejszy, nie można wogóle dostać mleka, masła, ani jaj dla dzieci. Mięso psuje się szybko i brak tu najprymitywniejszych środków utrzymania. To niezwykle utrudnia życie.

Przed wyjazdem z Odesy upoważnił mnie Usyszkin do przeprowadzenia kontroli księgowości towarzystwa „Geula“, którego przewodniczącym był wówczas Dizenhof. Byłoby zbyt cennym dodawać, iż zastałem tu wszystko w jaknajlepszym porządku. W Jaffie zwiedziłem również kilka większych sklepów i doszedłem do przekonania, iż nie są w stanie służyć kupcom detalicznym jako składy hurtowe. Brak im odpowiedniego sortymentu i należytego wyboru towarów. Drobni sprzedawcy są wobec tego zmuszeni robić zakupy w wielkich magazynach hurtowych w Bejrucie, gdzie wybór towarów nie pozostawia nic do życzenia

JAK POWSTAŁO TEL-AWIW

Na posiedzeniu „Rady“ referował Weiss z Łodzi sprawę budowy nowej dzielnicy żydowskiej (dziś jest to powszechnie znane miasto żydowskie Tel-Awiw). Ci bowiem, którzy postanowili w niej zamieszkać, wpłacili już na koszty budowy czterdzieści tysięcy franków. Dlatego też popierał Weiss usilnie projekt stworzenia nowej dzielnicy żydowskiej. Przemawiał do zebranych bardzo przekonującymi argumentami: „Dzieciom naszym nie dają spokojnie przejść przez ulice arabskie, zewsząd ciska się na nie przekleństwa. Działwa musi się przysłuchiwać sprośnym przezwiskom arabskim. Nie pozostaje nic innego, jak wybudowanie własnej dzielnicy“. Przyczem dodaje: „Musimy jednak bezwzględnie wpłynąć na Żydowski Fundusz Narodowy, by przyszedł z pomocą nowym osiedlom żydowskim przez pożyczkę 300 tysięcy franków, przyczem termin płatności musiałby być dość długi“. Wniosek Weissa popiera Lewontin, proponując jednak, by powyższą sumę złożyć do dyspozycji anglo-palestyńskiego banku, który ją odpowiednio rozdzieli w drodze długoterminowych pożyczek.

Tak więc położono wówczas kamień węgiel-

ny pod potężny gmach, będący historycznym dokumentem idealistycznego wysiłku żydowskiego, któremu na imię TEL-AWIW.

Zaproszono mnie wraz z Czlenowem na posiedzenie rady sjonistycznej. Właśnie zjawił się przedstawiciel robotników fabryki mebli Tritscha i przedstawia nam bliżej przyczynę, która ich zmusiła do strajku. Robotnicy wysunęli pewne postulaty ekonomiczne. Tritsch oświadcza jednak, iż w żaden sposób nie może uczynić zadość żądaniom pracowników, gdyż doprowadziłyby one do likwidacji przedsiębiorstwa. Niemiła to sprawa, kiedy dwie strony napozór przynależne do różnych klas społecznych, w rzeczywistości jednak w równej mierze biedne, zwalczają się wzajemnie z uporem i rozgoryczeniem. W takich chwilach budzi podobne zajście w bezstronnym widzu tylko uśmiech politowania

PETACH TIKWA

Godzina 7-ma rano. Budzą nas promienie słoneczne, które swem jaskrawem światłem zajął pokój. Słońce grzeje już silnie, kiedy wsiadamy wraz z d-rem Czlenowem i d-rem Gisinem do porządnej karocy, zaprzężonej w parę pięknych koników, zmierzając do kolonji Petach-Tikwa.

Przejeżdżamy obok kolonji niemieckiej Sa-

rony, wybudowanej przed 27-miu laty. Jest to wzorowe osiedle z bogatym inwentarzem, pięknymi budowlami i kwitnącymi ogrodami i sadami. Patrząc na to doskonałe dzieło ludzkiego wysiłku i niezwyklej pilności, odczuwa się instyktownie jakąś dziwną zazdrość.

Nasze koniki rędzą żwawo; zajęchawszy do Petach-Tikwy, zastajemy już ludzi przy pracy w polu. Pracuje wielka maszyna, zaprzężona w cztery konie z obsługą sześciu chłopów arabskich. Każdy z nich zarabia 1 i pół franka dziennie. Nad robotnikami czuwa dozorca Żyd, który sterczy po środku pola jak tyczka, trzymając ręce w kieszeni. Rozglądam się wokoło. Domy w Petach-Tikwie są bardzo ładne. Przypominają małe wille na letniskach, które, pomimo że są oddzielone jedne od drugich, należą jednak do tej samej rodziny. Niektóre budowle są jeszcze niedokończone. Winę tego ponosi rząd turecki, który nie zezwala na budowę domów w kolonjach. Na uzyskanie pozwolenia na budowę domostwa nie wystarczy nawet porządny bakszysz.

W Petach-Tikwie mieszka 300 rodzin i niemal wszystkie zajmują się uprawą pomarańczy. W wielu wypadkach karczuje się nawet winnice, aby zaszczerpić plantacje pomarańczy. Wszelką pracę wykonują tu jednak Arabowie. Nie widać tu wcale zbóż. Brak również owego typowego widoku żydowskiego gospodarstwa wiejskiego, rojącego się od kurcząt, gąsek, młodych hasają-

cych źrebaków, bydła, pędzonego w pole albo z pola do domu przez pasterza, grającego na fujarce. Kolonja jest raczej podobna do miasteczka niż do wioski. Oto skarżą się koloniści, że żywność kosztuje ich bardzo drogo, gdyż muszą kupować produkty pierwszej potrzeby albo u Arabów, albo w mieście. Mieszkania są również bardzo drogie, w każdym razie nie tańsze niż w Jaffie. Za 4-o pokojowe mieszkanie płaci się 600 franków rocznie. Na ulicach kolonji widać bardzo mało ludzi i co dziwniejsze: nie pokazują się wcale dzieci. Zapytujemy jednego ze sklepikarzy w Petach-Tikwa, gdzie przebywają jego dzieci. Odpowiedź brzmi:

„Jeden syn studjuje w Bejrucie, a drugi jest w domu“.

„A gdzie jest pańska żona?“

„Siedzi stale w domu, do sklepu nie przychodzi, gdyż jej to zajęcie nie odpowiada“.

Dowiadujemy się również, iż jest on właścicielem 100 dunamów plantacji, na której jednak pracują Arabowie. Jest to dość ekscentryczna wieś: mężczyźni nie widać przy pracy rolnej, kobiety przesiadują w mieszkaniach, a dzieci są rozproszone po całym świecie. Ostatecznie trudno stwierdzić, czy mamy tu przed sobą wieś, czy miasto!

Zajechaliliśmy do hoteliku, należącego do braci Gisin. Obaj bracia krzątają się ciągle, biegają tu i tam w potarganych, brudnych spodniach

Inianych, z zakasanemi rękawami, przemawiają bezustannie i agitują za Palestyną, ale nie wi-
dać, by sami kiedyś wyszli w pole i stanęli przy
pługu.

W Petach-Tikwie nie spoczywamy ani chwili.
Człowiek chciałby wszystko zobaczyć i zapoznać
się z najdrobniejszymi szczegółami tutejszego ży-
cia. Każdy z nas zagłada do najodleglejszego
zakątka i śledzi wszystko z ową typową skru-
pulatnością rewizora. Zwiedzamy młyn, który
należy do Weissa z Wiednia. Osiem kobiet przy-
niosło zboże do mielenia. Niema między niemi
ani jednej Żydówki

Z młyna udajemy się do pobliskiej apteczki,
gdzie sprzedają wszelkiego rodzaju lekarstwa po
jednakowej cenie, zaś z apteki idziemy do szkół-
ki dla dzieci, gdzie językiem wykładowym jest
hebrajski. W dalszym ciągu zaglądamy do przy-
drożnego sklepiku, a stamtąd kierujemy kroki ku
polu, stąd natomiast prowadzi drogą przez ulice
kolonji.

Wszędzie widzi się to samo: robotnikiem
jest Arab, zaś Żyd nawpół-dozorcą, nawpół-właś-
cicielem, a w samej rzeczy próżniakiem, który z
całą namiętnością dyskutuje. Tak, Petach-Tikwa
jest bezwątpienia piękną kolonją, tylko że brak
jej sił, zdrowia, wiejskiego życia i żywiołowej,
chiopskiej energii!

Mamy dziś prawdziwy podzwrotnikowy upał.
Słońce, zdaje się, przyłgnęło całym swym cię-

zarem do ziemi, pokrywając ją palącymi promieniami. Słoneczny żar drażni poprostu wzrok.

Zdała dochodzi nas rzewna, serdeczna melodia. Ktoś uczy się widocznie talmudu. Rozglądamy się dokoła. Melodia płynie z pobliskiej bóżnicy. Nie namyślając się długo wpadamy do bóżnicy Petach-Tikwy. Wewnątrz jest nieco chłodniej. Ściany powstrzymują napływ gorących promieni słonecznych. Z pomiędzy pulpitów i ławek wynurza się niska postać staruszka. Zbliża się ku nam drobnymi, powolnymi krokami. To on właśnie zawodzi ową smętną melodię talmudyczną. Z pod jego jarmużki wyglądają pukle siwych włosów i długie pejsy. Mała twarz starca jest silnie zmarszczona, a grzbiet zgarbiiony. Jest to stary, zgrzybiały człowiek, ale oczy jego płoną jakimś młodzieńczym ogniem i są pełne wiary, zaś usta starca uśmiechają się z dziecinną łagodnością i szczerością. D-r Czlenow zapytuje go swym zwykłym tonem:

„Jak wam się powodzi, dziadku?“

„Niezgorsza, chwalić Boga, mój panie“.

Starzec przypatruje się nam. Objął mnie głębokim spojrzeniem, spojrzał przenikliwie na Czlenowa, a wraz z westchnieniem utknął mu w gardle początek jakiegoś słowa, które chciał wypowiedzieć.

„A skąd pochodzicie?“ pyta w dalszym ciągu Czlenow.

„Z Kijowa“ odpowiada staruszek.

„Z Kijowa?”

„Tak jest. Przybyłem tu po pogromie w Kijowie. Zbrodniarze zamordowali mi córkę. Szczęściem udało mi się ujść żywym z ich rąk”.

Dr. Czlenow chce zatuszować przykre dla starca wspomnienia o pogromach, więc zapytuje go ponownie:

„Ale w Petach-Tikwie jest nieźle, dziadku?”

Tak, wszystko byłoby w porządku, ale cóż kiedy nie można się tu modlić do Boga z takim przejęciem, jak w golusie...”

Jakiś głęboki smutek dźwięczy w tych słowach. Starzec milczy. Znać po nim, że wypowiedział w tej chwili swe najbardziej skryte i najszersze uczucia, które mu nieustannie dokucają. Była to tak bardzo intymna spowiedź jego duszy, iż teraz mu już tylko milczeć wypada. Stary talmudysta powiedział wszystko...

Z uczuciem jakiegoś niepojętego przygnębienia opuszczamy bóżnicę, by ponownie wpaść na ulicę, kąpiącą się w gorących promieniach palestyńskiego słońca. Maszerujemy przez Petach-Tikwę jak prawdziwi wywiadowcy, a przed nami skaczą nasze długie wyciągnięte cienie. Jakże wielkimi czynią nas nasze cienie! W uszach dźwięczą jednak ciągle słowa starca, pełne przeogromnej goryczy:

„Tak, wszystko byłoby w porządku, ale cóż kiedy nie można się tu modlić do Boga z takim przejęciem jak w golusie...”

W ZICHRON-JAKOW

Z Petach-Tikwy jedziemy do Zichron-Jakow. Na polach ten sam widok; robotnikami są wszędzie Arabowie, a Żyd — dozorcą nad pracującymi. Przed kolonją ugrzązł nasz wóz w błocie, którego nie zdołały jeszcze osuszyć promienie podzwrotnikowego słońca. Zaczyna się ciężka i przykra praca: należy wyciągnąć wóz z błota. Napociliśmy się przytem porządnie. Błoto okazuje się jednak mocniejsze od nas i nie wydaje nam wozu. Koła ugrzęzły głęboko, a lepkie warstwy błota przylgnęły do nich silnie. Okazuje się niezbędną obca pomoc. Na nasze szczęście zbliżają się jacyś dwaj ludzie. Jeden z nich to Żyd, a drugi „ger“ (neofita). Przy ich pomocy wydobywamy wóz z przekłętego błota. Dr. Czelnow ściera sobie pot z czoła i zapytuje przybyłego Żyda:

„Jakże wam się, ojcze, wiedzie w Palestynie?“ Po krótkim namyśle słyszymy odpowiedź:

„Nie tak świetnie jak to sobie wyobrażają“.



„Poczem następuje cała litanja skarg na administrację „Ici“, na porządki, panujące w kolonjach Rotszylda, na stosunek do kolonistów — słowem — żal do całej Palestyny.

„Źle tutaj, mój panie!“ skarży się Żyd w dalszym ciągu. Stosownie do swego zwyczaju wypytywania każdego z napotkanych — zwraca się Dr. Czlenow z kolei do neofity:

„A jak się wam tu powodzi?“

Pada w języku rosyjskim szczerza odpowiedź człowieka zadowolonego:

„Ot, sława Bogu, jakoś to człowiek żyje“.

„To znaczy, że można tu jednakże wyżyć?“

„No tak“ uśmiecha się „ger“ dobrodusznie— „mieszkamy, co prawda, jeszcze w ziemiankach, ale obiecano nam dać ziemię.. chwalić Boga człowiek żyje“.

„Jak długo mieszkacie w ziemiankach?“ pyta dr. Czlenow w dalszym ciągu.

„Dopiero pół roku, nie więcej... ale czujemy się, Bogu dzięki, nieźle“.

Ów neofita czuje się nieźle — w jego dobrodusznym uśmiechu maluje się zadowolenie i głęboka wiara mimo, że mieszka już od pół roku w ziemiance.

Puszczamy się w dalszą drogę. Do kolonji Zichron-Jakow przybyliśmy o godzinie 12-ej w nocy. Panuje tu grobowa cisza. Wszystko porażone we śnie. Czuwają tylko wielkie gwiazdy na jasnym niebie palestyńskim. Wśród cichej i pogodnej nocy wschodniej zdają się one drzeć,

jakby pomrukiwały z wyoka, prawiąc nam tyśiąc-letnie opowieści o chwilach wielkości i upadku żydowskiego narodu. Teraz mają ponownie nastąpić chwile wzlotu ducha i zmartwychwstania narodu.

Jak nam wiadomo, włożył baron Rotszyl w kolonję Zichron-Jakow kilka milionów, jednakże oblicza kolonistów nie zdradzają nic szczególnie wesołego. Nastrój ogólny jest dość ponury.

Jest to dziwnie opustoszała kolonja. Nie widać tu wogóle młodzieży. Prawie wszyscy synowie kolonistów wyemigrowali: jedni do Egiptu, inni do Ameryki, pozostali zaś do Australji. Stamtąd nie wracają więcej, a jeśli się zdarzy, że któryś przybędzie na krótki czas, to tylko po to, by odebrać spadek po rodzicach, przedstawiający pewną pokaźniejszą wartość. Tak więc Zichron-Jakow robi wrażenie czegoś opuszczonego i dziwnie osamotnionego. Opustoszałe są domki, podwórza, ogrody i uliczki kolonji, a nad całym życiem tutejszem unosi się beznadziejna pustka i nuda. Nieliczni mieszkańcy osiedla są bardzo rozleniwieni i ospali. Ludzie krocą tu jakby na drewnianych nogach, a w swem lenistwie unikają nawet dyskusowania, które jest tak lubiane w zbiorowiskach żydowskich. Aż żal patrzeć na winnice kolonji. Zwiędłe i obumarłe krzewy leżą na spustoszonej ziemi, podobne do obłożnie chorych i opuszczonych ludzi, dających

już tylko słabe oznaki życia...

Właścicielką naszego hotelu jest niejaka pani Graf. Zapytuję ją:

„Dlaczego się młodzież tutejsza tak rozjechała?” Odpowiedź brzmi

Bo brak nam ziemi“.

gronom Aronzon twierdzi jednakowoż, że koloniści nie uprawiają nawet tej ziemi, która się znajduje w ich posiadaniu. Po pierwsze brak im na to odpowiedniego kapitału, a powtórę są to grunta bardzo rozrzucone tak, że nie podobna ich uprawiać własnymi siłami. Kolonista jest więc zmuszony wynajmować robotników rolnych— przestaje tem samem być rolnikiem, zadawalniając się rolą biednego dozorczy nad arabskimi fel-lachami.

Natomiast koloniści, z którymi miałem sposobność rozmawiać, twierdzą, że martwota Zichron-Jakow jest wynikiem postępowania rządu tureckiego. Doprowadza on kolonję do ruiny przez „dziesięcinę“, którą w nielitościwy i bezwzględny sposób wydusza od kolonistów. Nadmiar złego istnieje tu jeszcze p o g ł ó w n e, t. zw. „oskarja“, na mocy którego władze wyciskają ostatnie grosze od mieszkańców osiedla. Jest to niesamowicie dziwny podatek, opłacany przez wszystkie osoby rodzaju męskiego od dnia urodzenia w sumie 12-tu franków rocznie. Poza tem musi tu człowiek składać różne haracze w formie łapówek, przysłowiowego bakszyszu — w przeciw-

nym bowiem razie jest skazany na nieustanne
szykany.

„Wciąż wypada płacić tak, że człowiekowi
brzydnie to wreszcie“ skarży się przede mną je-
den z kolonistów — „zwłaszcza, że dochody na-
sze, pożał się Boże, są tak marne!“ Zichron
Jakow działa na mnie bardzo przygnębiająco.

W pięknym budynku, gdzie się dawniej mie-
ściła administracja Rotszylda, urządzono uroczy-
ste przyjęcie na cześć Czlenowa. Przemawiali
liczni mówcy z pośród kolonistów, żaląc się
bardzo na rząd. Przypominano jeszcze raz wszy-
stkie powyższe bolączki, jak „dziesięcina“, „os-
karja“ i „bakszysz“. Na sali zapanował przykry
nastrój.

Jest rzeczą jasną: nie buduje się obecnie
niczego nowego, dzieło nasze nie posuwa się
tutaj ani o mały krok naprzód, lecz wręcz prze-
ciwnie: stopniowo znikają zaprzepaszczone te
okruszyny, które poprzednio stworzono wśród
niezwykłego wysiłku. Widok obumierającego stop-
niowo życia tutejszego jest wprost zastraszający.

Podupadła również bardzo słynna w Zich-
ron-Jakow wytwórczość wina. Tutejsze wina u-
chodziły za najlepsze, zaś obecnie wyprzedaje
administracja ze względów oszczędnościowych
stopniowo najlepsze maszyny, których zresztą
i tak tłocznia kolonji już nie potrzebuje.

Wypada mi zrobić smutne resumé nędzy
Zichron-Jakow: brak kapitału, grunty poszcze

gólnych kolonistów są zbyt odległe jedne od drugich do tego stopnia, że kolonista przemienia się mimowoli w dozorcę nad gromadą najemnych robotników arabskich, a wkońcu rząd turecki, który ściąga z kolonji nadmierne podatki. Opuzczam kolonję, a w uszach dźwięczą mi, niby przykry refren tutejszych przeżyć, słowa: „dziesięcina“, „oskarja“ „bakszysz“, „dziesięcina“, „bakszysz“, „oskarja“...

CHEDERA.

Z Zichron-Jakow udajemy się do Chedery. Jest nas obecnie czterech: dr. Czlenow, dr. Gisin, Aronzon i ja. Na pierwszy rzut oka robi Chedera wrażenie bardzo dodatnie. Kolonja tonie w morzu zieleni, lasów eukaliptusowych, któremi ją baron otoczył. Soczysta zieleń liści odcina się wyraziście od żółtego tła piasków i zaschłych krzewów i łechce mile wzrok Europejczyka. Przestrzeń 720 dunamów ziemi jest pokryta oliwkami, zaszczerpionymi przez towarzystwo „Ikor“. 38 domów Chedery stoi z niewzruszoną pewnością na swych silnych podstawach! W toku rozmowy ze starszymi kolonistami nabieramy przekonania o ich wytrwałości i męstwie. W ich tonie przebija dużo siły i stanowczości.

„Cheder jest prześlizną kolonią i można sobie tu stworzyć trwałą egzystencję” — twierdzą jednogłośnie — „tylko brak nam kapitału. Oto największa bolączka, tamująca rozwój osiedla”. Starają się obecnie o przyciągnięcie kapitalistów i dlatego brzmią nieco przesadnie ich opisy dodatnich stron kolonji.

Z prawdę wym stanem rzeczy można się dopiero zapoznać po dłuższym pobycie w Chederze. A wówczas nie trudno dostrzec, że i tu brak młodzieży: dorastające pokolenie rozproszyło się jak ptactwo po całym świecie. Gospodarstwo jest zaniedbane i opuszczone. To samo zło, które dokucza Zichron-Jakow gnieździ się również w Chederze, tylko tutaj zatuszowano je zręcznie. Na zewnątrz nie bije więc w oczy owa beznadziejna opustoszałość Zichron-Jakow. W całej kolonji nie mogłem np. znaleźć siodła. Wreszcie udało mi się wydostać kilka starych siodła, które już dawno wyszły z użytku.

Jakaż nędza i bieda na każdym kroku! Wszystko zdaje się być oparte na kurzych nogach.

P. Boksztejn, który już od roku studjuje tutejsze życie, oświadcza nam:

„Opuszczam Palestynę z przeświadczeniem, iż brak jej ludzi z wykształceniem zawodowym, nie mówiąc już o specjalistach. Owi przypadkowi koloniści to znaczni ludzie, którzy

dziwnym zbiegiem okoliczności zetknęli się z pracą rolną, nie przedstawiają wielkiej wartości. Zamiast budować psują wszystko, czego się dotkną i wprowadzają niechęć i apatię do życia „jiszubu“ palestyńskiego.

Muszę przyznać: po tem wszystkim, co tu człowiek widzi i słyszy, trudno się oprzeć uczuciu rozczarowania.

Wdaję się w rozmowę z jedną z tutejszych kolonistek. Poruszamy różne sprawy, dotyczące życia w kolonjach. Moja interlokutorka rozgląda się często dokoła, a wyraz jej twarzy zdradza, iż obawia się mówić szczerze i otwarcie. Wkońcu jednak zwierza mi się: „Źle tutaj, bardzo źle, mój panie, ludzie umierają na malarję; już liczni padli jej ofiarą“. Mówiąc to kobieta wzdycha ciężko i spuszcza oczy.

W HAJFIE I NA SZCZYCIE KARMELU.

Wyjeżdżamy do Hajfy. Przy pożegnaniu z Aronzonem i jego szwagrem Bernanem musimy wysłuchać skarg na Żydów wogóle, a szczególnie na Żydów-mieszkańców Palestyny.

„Człowiek pracuje bezustannie“ — skarżą się oni — „a w nagrodę za to ma ciągłe żale i zmartwienia. Nie szczędzi się największych ofiar, narażając się wprost na śmierć — zaś zapłatą za

to jest ustawiczna nienawiść, kłótnie i ogólna niechęć.“ Martwi nas bardzo ta rozmowa, kończymy więc ją szybko, złożywszy Aronzonowi i Bermanowi nasze najserdeczniejsze życzenia.

Konie pędzą szybko, rozlega się głośny turkot kół, a biała, cienka warstwa kurzu pokrywa nasze ubrania. Po drodze spotykamy pisarza Ludwipola. Siedzi sobie swobodnie na małym osiołku, który stąpa pomału naprzód. Uradowani tem niespodzianem spotkaniem rozpoczęliśmy ożywioną rozmowę. Opowiada nam, że objeżdża Palestynę i jest tu wszystkim zachwycony.

„Jest w tym kraju taka moc rzeczy do podziwiania“ — powiada — „iż nie tylko ja sam zostałem nim oczarowany. Również Szalom Asz, który tu niedawno bawił, nie miał słów zachwyty dla piękna Erec-Izrael“.

Jakaż szalona różnica zachodzi między nim a kolonistą z Zichron-Jakow.

Do Hajfy przyjechaliśmy o godzinie 9-ej wieczór. Zajeżdżamy do niemieckiego hotelu „Kraft“, gdyż w całej Hajfie niema ani jednego porządnego zajazdu żydowskiego.

Nazajutrz rano rozpoczynają się naturalnie nasze wizyty.

Z szeroko rozwartemi oczami przypatrujemy się wszystkiemu, zaglądamy tam, gdzie można zajrzeć, a nawet tam, gdzie nie wolno i nie należy... Wszak nie jest to zwykła wycieczka turystów, lecz bardzo poważna podróż. Chodzi

nam o gruntowne poznanie nowego „iszubu“ żydowskiego, pragniemy dokładnie zbadać nasze dzieło kolonizatorskie i szczegółowo wniknąć w tutejsze życie.

Muszę przyznać, że odwiedziny nowo-założonej fabryki mydła „Atid“, której jestem również udziałowcem, nie zadowolili mnie. Moim zdaniem fabryka ta się nie utrzyma. Pochłonie tylko dużo pieniędzy — znacznie więcej niż przyniosła sprzedaż akcyj. Przy fabryce mydła musi bowiem istnieć tłocznia oliwy. Z odpadków i pozostałości przy produkcji oliwy wyrabia się mydło. W ten sposób uzupełniają się obydwie przedsiębiorstwa, dzięki czemu wyroby mogą być tanie. Jest również rzeczą niezbędną utrzymywanie podręcznego zakładu stolarskiego i ślusarskiego, aby w razie zepsucia się mechanizmu fabrycznego można go było na miejscu naprawić i nie być skazanym na ciągłe przerywanie pracy. Należy wziąć pod uwagę, że obydwie fabryki (fabryka mydła w Hajfie i tłocznia oliwy w Ludd) pochłonęły już 90.000 rubli, to znaczy cały kapitał akcyjny. W samo tylko przedsiębiorstwo w Ludd włożono 80.000 franków. Zaszczepiono u na przestrzeni 100 cunamów ziemi drzewa oliwowe, lecz zaraz na wstępie odczuwało się brak gotówki. Wszystkie te sprawy omawiałem szczegółowo z inicjatorem i zarządcą towarzystwa „Atid“. Na moje liczne wątpliwości odpowie-

dział mi po głębokim namyśle, że jego teść Achad-Haam sądzi, iż fabryka ma bardzo dobre widoki... Ależ na Boga, aby coś podobnego stwierdzić trzeba być fachowcem!

W międzyczasie pochłania sama administracja fabryki 35.000 franków rocznie! Takie oto są wydatki przedsiębiorstwa, opierającego się na kurzych nóżkach!

Po tych licznych wątpliwościach i przykrych obliczeniach odpoczywa człowiek na szczycie góry Karmel, oczarowany bogactwem nagromadzonego tu piękna. Naprzeciw mnie rozciąga się morze Śródziemne, którego błyszcząca tafla kończy się gdzieś daleko na krańcach horyzontu, a po prawej i lewej stronie wznoszą się dumnie szczyty sąsiednich gór. Sprytni Francuzi zawładnęli jednak większą częścią góry od strony Hajfy. Tak więc przypadł im w udziale jeden z najpiękniejszych zakątków Palestyny.

W KLASZTORZE FRANCUSKIM I W MONASTYRZE NA SZCZycIE TABORU.

Z Hajfy wyjeżdżamy do Meschy. Do kolonji przybyliśmy przed wieczorem. Leży ona u podnóża góry Tabor. Roi się w niej od zieleni, a góra rzuca na nią długie cienie. I tu także nie widać młodzieży. Jakby ją jakieś nieznane siły

wypędzały z rodzinnych stron. Spotykamy po większej części starszych kolonistów, kobiety i dzieci. Po krótkim wypoczynku siadamy na małe i wychudłe osiołki, by się udać na szczyt góry Tabor.

Towarzyszy nam również nauczyciel kolonji. Przez plecy ma zawieszony karabin. Zwraca jednak moją uwagę jego sposób noszenia broni, a mianowicie: kolbą do góry, zaś lufą na dół. Powiadam mu, że jest to moim zdaniem niewłaściwy i niebezpieczny sposób noszenia karabinu, gdyż może jeszcze w ten sposób kogo postrzelić. Inaczej przedstawia się sprawa, gdy wystrzeli przypadko o karabin zawieszony normalnie, wówczas bowiem kula godzi wprost w chmury, które się tem, jak wiadomo, nie przejmują i którym strzał w żaden sposób nie może zaszkodzić. Po uważnem wysłuchaniu moich uwag nauczyciel roześmiał się najniepoważniej w świecie i rzekł: „Małe nieporozumienie, mój panie. Karabin wogóle nie strzela“.

„Jak to mam rozumieć; dlaczego nie strzela“?

„Dla tej prostej przyczyny, że jest zepsuty“.

„Pocóż go więc pan nosi?“

„Chodzi o nastraszenie Arabów... „objaśnia mi z uśmiechem; „nasi Beduini obawiają się karabinów niezależnie od tego, czy strzelają...“

„Czy napadają kiedyś na kolonistów żydowskich?“ pytam nadal już nieco zaintrygowany.

„Bywa to nawet dość często. Jest to jeden z najmniej sympatycznych zwyczajów arabskich”

Muszę przyznać, że ten zwyczaj arabski wcale mi się nie podoba.

Do szczytu góry jeszcze daleko. Popędzamy więc osiołki i ruszamy w szybkim tempie naprzód. Przed nami znajduje się wąska kładka, jakby zawieszona nad przepaścią. Udało nam się szczęśliwie przez nią przepawić: pierwszy ruszył nauczyciel, następnie Czlenow, a po nim ja. Posuwamy się obecnie z największą ostrożnością. Powstrzymując oddech kroczy nasza grupka górską ścieżyną. Wokoło nas panuje grobowa cisza nocy. Niebo jest usiane tysiącami jasnych, srebrnych gwiazd, a pośród nich przepływa majestatycznie księżyc. One to darzą nas jasnością i oświetlają górską drogę. Po szczęśliwym przebyciu wszystkich niebezpiecznych ścieżek i kładek, docieramy późną nocą na szczyt Taboru.

Przed nami wznosi się wysoki budynek. Jest to klasztor francuski, który ściąga pielgrzymów z całego świata w takiej samej mierze, jak Nazaret i inne święte miejscowości w Erec-Izrael.

Wita nas bardzo gościnnie jeden z zakonników, mężczyzna w sile wieku. Poruszając się bardzo wytwornie, wprowadza mnie i Czlenowa do schludnego pokoiku. Stoją tu 2 łóżka zasłane mleczno-białą pościelą. Wskazawszy nam uprzejmie miejsce wysuwa się mnich cichaczem z po-

koju. Po chwili zjawia się ponownie — w jednej ręce dzierży dzban z mlekiem, a w drugiej dwie szklanki. Stawia je na stole, nie mówiąc ani słowa — okazuje się, że jest niemową. Następuje jeszcze jeden głęboki ukłon, poczem zakonnik wychodzi, zamknąwszy za sobą drzwi.

* * *

Budzimy się o godzinie 6-ej nad ranem. Z „Przewodnikiem podróży“ w rękę okrążamy górę, na której się roi od historycznych pamiątek i pozostałości. Wszystko pachnie tu historją, Bibliją, a na owe drogie i święte wspomnienia bije mocniej serce żydowskie.

Zdalek widzimy wioskę „Kfar Debora“. Ongis przed wiekami ronila tam gorzkie łzy prorokini Debora, a jej płomienny wzrok padał często na górę Tabor, po której my obecnie krocymy z „Przewodnikiem“ w rękę...

W żarze poranka palestyńskiego wyczuwam jeszcze dziś dalekie spojrzenie jej ognistych oczu.

A oto jest kamień, na którym siedział Barak, syn Awinoama, marszałek polny prorokini Debory. Przyszedł, by spocząć na kamieniu, po zwołaniu bohaterów całego Izraela do walki z wrogiem.

Zeszliśmy na dół, zbliżając się ku kamieniowi, ale nagle ogarnęło nas jakieś dziwne zmęczenie i pociemniało nam w oczach. Przed na-

szemi oczyma jęli się przewijać bohaterowie Biblii. W rozpalonej fantazji widzieliśmy Baraka, Deborahę i dziesięć tysięcy bohaterów, którzy jak jeden mąż ruszyli na nieprzyjaciela. Spoglądaliśmy na ich zwycięski bój, a do uszu zdawał się dochodzić, jak jakaś głośna muzyka, chrzęst broni. Następnie stanęły przed naszymi oczyma hufce tryumfujących rycerzy, a gdzieś w oddali rozbrzmiewała dziękczynna pieśń Debory. Nie wiem też dlaczego ogarnął nas w tej chwili jakiś ciężki smutek.

Dr. Czlenow powstaje nagle z miejsca i odzywa się do mnie, tłumiąc równocześnie głębokie westchnienie, które mi godzi prosto w serce: „Chodźcie, pójdziemy do rosyjskiego klasztoru... Niepodobna tu dłużej siedzieć“...

Zmierzamy do monasteru. Tłuściutki mnich rosyjski wita nas u progu ciepłym, rosyjskim uśmiechem i zapytuje z miejsca:

„Skąd przybywacie, dziecieczki moje?“

Uśmiech rozlewa mu się po szerokiej twarzy, poczem wznosi ręce i mówi w skupieniu:

„Niech was Bóg błogosławi, dzieciątka moje. Z radością przyjmą was podwoje tego domu. Proszę, wejdźcie do nas i osilcie się i pokrzepcie wasze ciała i dusze... Czemu nie nocowaliście u nas — wszak tu tak dobrze...“

Na obliczu dobrego Czlenowa znać silny gniew, czuję, że nie będzie mógł pohamować złości. Wtem potrzęsnał głową i odezwał się

szorstko do zakonnika.

„Tak, tu, jak widzę, jesteście dobrzy, uprzejmi i gościnni, ale tam z waszej ojczyzny wypędzacie nas ogniem i mieczem... Urządzacie pogromy i gwałcicie nasze córki...”

Tłuściutki mnich nie spodziewał się widocznie takich słów. Niemniej jaśniał i nadal na jego obliczu ów słodki uśmiech, już nieco spłoszony. Wnet jednak spuścił oczy zażenowany mówiąc:

„Tak, w ten sposób się obchodzą... co pan mówi?”

Nie odpowiedziałwszy ani słowa opuściliśmy szybkim krokiem monastyr rosyjski. Pragniemy choćby na chwilę zapomnieć na szczycie góry Tabor o niedoli żydowskiej w Rosji.

W TYBERJADZIE

Nie przerywamy ani na chwilę naszej wędrówki. Z Meschy ruszamy do Rosz Piny. Po obydwu stronach widnieje bardzo malowniczy krajobraz. Niepodobna nawet na sekundę zmrużyć oczu. Pragnąłbym zobaczyć wszystko. Każdy kącik ma tu znaczenie historyczne i budzi w mojej pamięci rój wspomnień i reminiscencyj z lektury biblijnej.

Po przybyciu do Tyberjas płacimy woźnicy należność za podróż, którą odbył z nami od Jaffy.

Odetchnęliśmy tu swobodnie, a po krótkim odpoczynku udajemy się na brzeg „morza Kineret”. Tutaj nadarza się nam sposobność pomówienia z Żydami, żyjącymi z „chaluki”^{*)}. Dr. Czlenow wypytuje ich o stosunek do kolenistów. Nie dają jednak na to odpowiedzi, jakby się czegoś obawiali. Ich stosunek do nas jest podejrzliwy. Kiedy się jednak przechadzamy wzdłuż wybrzeża, uwija się za nami jeden z nich. Jest to wysoki, młody mężczyzna o czarnych jak smoła włosach. W pewnej chwili nachyla się ku mnie i szepce mi cicho do ucha: „Zróbcie ze mnie również kolenistę... wszak jest pan zapewne wysłannikiem barona...”

* * *

*

Na małej łodzi przepływamy jezioro Kineret. Wiosłuje czterech rosyłych Arabów o ogorzałych twarzach. Drobne fale uderzają o brzegi łódki, zaś wiosłarze nucą jakieś smętne piosenki, nie spoglądając wcale ku wodzie.

Owa „podróż morska” nie jest zbyt bezpieczna. Mam wrażenie, że nie byłoby dla nas niespodzianką, gdybyśmy się nagle, wśród słod-

^{*)} Jalmużnicy, utrzymujący się w Palestynie z danin przesyłanych przez Żydów w Europie.

kich rozmyślań, znaleźli... na dnie morza. Niema, zdaje się, jednak innej drogi do Rosz-Pinah.

R O S Z - P I N A H

Po szczęśliwym wylądowaniu spotykamy przedstawiciela kolonji. Jest to przyjaciel Czlenowa od lat dziecińczych (zapomniałem, niestety, jego nazwiska). Następuje serdeczne powitanie i wnet toczy się serdeczna rozmowa, jak zwykle na różne tematy. Do Rosz-Pinah nie wypadnie nam pójść pieszo, bo oto sprowadził dla nas gościnny kolonista dwa muły. Dziwi nas to trochę i dlatego zapytuję delegata kolonji, skąd się tu biorą tak piękne muły, w dodatku świetnie osiodłane (dotychczas nie zdarzyło mi się spotkać w kolonjach mułów). Wnet się sprawa wyjaśnia. Muły wraz z siodłami stanowią własność administracji Rotszylda. Na podstawie rozporządzenia pana Wielowiejskiego, głównego administratora posiadłości barona, oddano do naszej dyspozycji owe muły na cały czas pobytu w kolonji.

Muszę przyznać, że owe gościnne i bardzo uprzejme zarządzenie bardzo nas wzruszyło. Będzie to dla nas znaczne ułatwienie w zwiedzaniu okolicy. Wszak osioł i koń są tu jedynymi środkami komunikacji, gdyż długość całej palestyńskiej sieci kolejowej nie przekracza 360 klm...

Rosz-Pinah założyli pobożni Żydzi rumuńscy przy pomocy kapitałów barona. Kolonja robi bardzo dobre wrażenie. Po obydwu stronach ulic są zaszczerpione drzewa, rzucające miłe, chłodne cienie na rozpaloną jezdnię i chodniki. Człowiek czuje się tu swobodniej i pewniej. Wokoło jest dużo wolnej przestrzeni, a gęsto rozsiana zieleń miłe łechce wzrok przechodnia.

Domy zbudowane w jednym stylu, są ładne i świadczą o smaku artystycznym mieszkańców osiedla. W sobotę panuje w kolonji owa cisza, charakterystyczna dla miasteczek żydowskich w gólsie. Spaceruję przez ulice Rosz-Pinah i nie spotykam ani jednego człowieka. Ludziska siedzą w domu i rozkoszują się odpoczynkiem sobotnim.

Wtem spostrzegam małą dziewczynkę z jakąś paczką w ręku. Zatrzymuję ją na chwilę, pragnąc się dowiedzieć, co niesie w paczce. Dziewczynka odpowiada mi po hebrajsku: „Noszę „czulent“*) od sąsiada do domu...”

* * *

*

W sobotę wieczorem odwiedzamy przedstawiciela kolonji. Przy tej sposobności częstuje on

*) Jadło przygotowane w piątek i przechowywane w ogrzonym piecu na sobotę.

nas winogronami z własnej winnicy, która się znajduje na stokach góry Kanaan.

Do spółki z pewnym Żydem z Safetu kupił na tej górze bardzo tanio ziemię. Kolonista zapewnia nas, iż nie brak ziemi, tylko ludzi jest mało, ludzi, którzyby ją chcieli uprawiać. Powtórza się stara historia: niechęć do rolnictwa staje się tu zjawiskiem niemal chorobliwym.

Skarży się on jednak na brak kredytu. W Tyberjadzie są Żydzi, którzy pożyczają pieniądze, ale żądają od 18 do 24 proc. rocznie, zaś Arabowie biorą jeszcze większe odsetki.

Zwraca się do nas z prośbą, byśmy wpłynęli na Lewontina (dyrektora banku anglo-palestyńskiego) i namówili go do założenia oddziału banku w Tyberjas. Tani kredyt mógłby się bowiem w znacznej mierze przyczynić do rozwoju Rosz-Pinah.

WYCIECZKA DO SAFETU

W niedzielę rano wyruszamy zaraz po śniadaniu do Safetu. Towarzyszynam pani Jakobsohn.

Safet pociąga już zdala swem pięknem. Miasto wznosi się majestatycznie na szczycie góry, śląc ku nam z oddali uśmiechy swemi „historycznymi oczami“.

Jedziemy na małych osiołkach. Niema tu innego środka komunikacji. Droga jest uciążliwa — biegnie prawie przez cały czas wśród gór. Małe osiołki o najeżonych uszach stąpają zwolna jak dzieci. Ale zato krok ich jest pewny i bez zachwiania mijają najniebezpieczniejsze ścieżyny i kładki górskie.

Niejednokrotnie bywają te dróżki tak wąskie, że sam podziwiam, jakim cudem osiołek nie traci na nich równowagi i nie spada wraz z jeźdźcem w głąb przepaści. Mimowoli spoglądam w przepaść, lecz natychmiast czuję silny zawrót głowy: mam wrażenie, że oto pochylam się głową wdół, staczając się na dno przepaści... Czuję w tej chwili, jak mi krew stygnie w żyłach.

Pani Jakobsohn jest jednak przyzwyczajona do takich podróży na osie wśród wąskich ścieżyn górskich i dlatego wydaje jej się śmieszna moja obawa. Robi nawet na ten temat żarty, śmiejąc się swobodnie. Muszę jednak przyznać, że pomimo jej dobrego humoru i wesołości nie zbiera mi się wcale na śmiech.

* * *

*

Po przybyciu do Safetu zajeżdżamy do jakiejś restauracji, mieszczącej się w oszklonej werandzie. Bezlitosne słońce praży nas tu bezustannie. Strumienie potu spływają po naszym ciele i niepodobna tu poprostu oddychać. Prawdziwe, podzwrotnikowe piekło słoneczne! A przytem wszystkim przykro człowiekowi przyznać się, iż jest głodny... Okazuje się, że nawet gorące słońce palestyńskie nie jest w stanie zmniejszyć apetytu... Zamawiamy obiad i wnet podają nam mięso, od którego bije... brzydki zapach. Pozostałe potrawy są tak wstrętne, że nastrajają wprost pesymistycznie głodnego człowieka. Trudno się jednak oprzeć gwałtownemu apetytowi tak, że człowiek rad nie rad zajada... Miał smacznych potraw mamy jednak sympatyczną właścicielkę restauracji. Przykre wrażenie, jakie pozostawia na nas podawane jadlo, stara się ona okraszyć dobrotliwym uśmiechem i nadmiarem uprzejmości.

„Jedcież, moi państwo“ powtarza, jakby nas chciała uzbroić w odwagę... „Niech wam to przysporzy dużo zdrowia... Dr. Matkin uprzedził mnie, że zajadą do nas bardzo poważni goście... Proszę wobec tego jeść z apetytem, szanowni państwo... Przypuszczam, iż jesteście wysłannikami barona.

Cóż z tego, kiedy owa jej greczność i uprzejmość nie są w stanie dodać smaku potrawom, ani pozbawić mięsa niepożądanego smaku.

Pani Jakobsohn tłumaczy nam: „Tutaj goście są bardzo rzadkiem zjawiskiem. Wszyscy którzy przyjeżdżają, by zwiedzić Erec-Izrael, jadą zawsze wprost do Jerozolimy. Zwiedza się również kolonje, ale bardzo rzadko się zdarza, aby ktoś zawitał do Górnej Galilei. Takie już szczęście ma nasza połać kraju — ludzie unikają jej... Postąpiliście więc bardzo rozsądnie, zwiedzając w pierwszym rzędzie Galileję...”

— „A dlaczego właściwie tak stronią od Galilei?” zapytuje dr. Czlenow.

„Albowiem człowiek przesycy y nadmiarem wrażeń przeżytych w Jerozolimie i w kolonjach, nie czuje się na siłach do podjęcia dalszych wędrówek. Pobożni Żydzi przybywają do Tyberjady na kilka godzin, poczem natychmiast wracają. Inni nawet i tego nie czynią...”

Pragnąłem zobaczyć Safet i jego okolice — już oddawna się do tego przygotowałem. Ów nieszczęsny obiad rozbił jednak wszystkie moje plany... Dostałem silnej gorączki, a dr. Czlenow orzekł, iż musimy niezwłocznie wrócić do Rosz-Finah.

Cóż z tego, że gospodyni była tak uprzejmą, kiedy jej obiad wszystko popsuł!...

KOLONIŚCI I ROBOTNICY

Jakże zazdrozczę dobremu Czlenowowi: codziennie zwiedza na mule sąsiednie kolonje, a ja, niestety, nie mogę mu towarzyszyć. Czuję się bowiem od kilku dni bardzo źle. Ilekroć tylko mogę wstać z łóżka, natychmiast zwiedzam kolonję. Poznaje przypadkowo „szomra“, bardzo inteligentnego młodzieńca, pochodzącego z Rosji. Oповіда mi, że w Rosz-Pinah zarówno jak w innych kolonjach traktują koloniści robotników, jak ludzi niższego gatunku.

Zapominają o tem, że robotnik żydowski w Erec-Izrael rekrutuje się z tych samych sfer obywatelskich co kolonista, poświęca się pracy fizycznej w imię swych narodowych ideałów. Pragnąc się przyczynić do fizycznego odrodzenia narodu porzucił pracę duchową, czy zawód kupiecki i został zwykłym robotnikiem. Ten jego czyn powinien przecież należycie ocenić kolonista — zwolennik sjonizmu.

Rozumiem bardzo dobrze tego młodzieńca i przyznaję słusność jego żalom. Przypominam sobie, że w kolonji Sedzera spotkaliśmy kilku żydowskich robotników (między nimi również Cemacha z Płońska, który jest obecnie agron mem w „Mikwe-Izrael“) i robotnice, zapalone

sjonistki. Była to grupa prawdziwych idealistów, lecz oni również skarżyli się na niekulturalny stosunek kolonisty do robotnika żydowskiego.

● Młody „szomer“ powiada mi w dalszym ciągu, że ilość robotników żydowskich w Palestynie jest wogóle niewielka, gdyż kolonista przyjmuje do pracy chętniej Araba niż Żyda. Robotnik arabski odpowiada mu bardziej nie tylko dlatego, że żąda mniejszej zapłaty, ale i dlatego, iż jest bardziej uległy niż robotnik żydowski.

Na takich rozmowach z młodymi, inteligentnymi robotnikami spędzam czas w Rosz-Pinah.

„BARON“ a KOLONIŚCI.

Ilekróć czuję się cokolwiek lepiej otwieram szeroko oczy, by wchłonąć w siebie jaknajwięcej widoków. Dziwna, nieprzeparta siła unosi mnie z łoża, wlokąc mnie z miejsca na miejsce.

Dziś postanowiłem wyjechać w pole. Wczesnym rankiem, gdy tylko koloniści skończyli modlitwy, wyruszamy z Rosz-Pinah. Środkiem komunikacyjnym są jak zwykle osły i muły. Czuję się tym razem bardzo dobrze, gdyż mamy wyjątkowo miły poranek.

W polu zastajemy już Arabów przy pracy. Odbierają od nas osły i muły, poczem pracują w dalszym ciągu.

Jakże tu rozkosznie! Oddycham pełnemi piersiami wonnem palestyńskiem powietrzem. Nie trwa to jednak długo, bo oto nadchodzi godzina 12-ta i rozpoczyna się klasyczny upał podzwrotnikowy.

Słońce wysyła na ziemię swe tak piekielnie gorące promienie, że niepodobna usiedzieć w polu. Chronimy się przed nimi w cień rozłożystego drzewa.

Część kolonistów rozciąga się wygodnie i zasypia wkrótce — pozostali rozpoczynają dłuższą rozmowę. Jeden z nich twierdzi, że należy bezwzględnie wysłać delegację do barona Rotszylda.

„Nacóż wam się przyda ta delegacja?“ zapytuje.

„Wszak musimy na nim wymóc“ odpowiada mi inny kolonista, „by przepisał posiadłości kolonji na nasze imię. To jest nasze bezwzględne żądanie“.

„Na czem jednak opieracie swe żądanie?“ pytam w dalszym ciągu. W odpowiedzi rozlegają się donośne głosy.

„Panu możemy to powiedzieć. Rotszyld nas unieszczęśliwia! Czujemy się obcymi w naszych własnych posiadłościach. Nikt z nas nie jest w stanie zaciągnąć pożyczki na swój własny ma-

łątek... Takie postępowanie administracji zmusza naszą młodzież do opuszczania kolonji... Jest to stan nie do zniesienia!"

Spokojnie wysłuchałem ich żalów, poczem rzucam ciche zapytanie:

„Widzę, moi panowie, że chcecie sobie zabezpieczyć wasze posiadłości. Powiedzcież mi łaskawie, czy spłaciliście już Rotszyldowi wszystkie długi? Jesteście mu jednak jeszcze „coś” winni?”

Wszyscy milczą. Najwidoczniej utrafiłem pytaniem mojem w samo sedno rzeczy...

Pod drzewem staje się coraz goręcej. Znać, że słońce przedostaje się nawet przez gęste gałęzie.

Rozlega się głośne chrapanie dwóch śpiących kolonistów. Śpią snem sprawiedliwych...

M A L A R J A

Stan mego zdrowia pogarsza się z dnia na dzień. Mam coraz większą gorączkę. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że choruję na malarję. Leczy mnie dr. Małkin, szwagier Usyszkina, a obowiązki siostry miłosierdzia spełnia przy mnie pani Jakobsohn, która właśnie przyjechała w gościnę do swojej siostry, żony d-ra Małkina. Pani Jakobsohn otacza mnie niezwykle czułą opieką i odnosi się do mnie jak prawdziwie sio-

stra miłosierdzia. Moja choroba okazuje się jednak silniejszą od niej: nie znać najmniejszego polepszenia. Opadam z sił.

Po naradzie z d-rem Małkinem dochodzą moi opiekunowie do przekonania, że nie pozostaje nic innego, jak przenieść mnie do Hajfy, gdzie są większe szanse wyleczenia malarji niż w Rosz-Pinah.

Przejęcia te nie wpływają, rzecz jasna, na moje usposobienie dodatnio. Nadomiar złego nie ma przy mnie dobrotliwego d-ra Czlenowa, który wyjechał przed kilkoma dniami na zebranie do Jerozolimy.

* * *

Położenie moje jest bardzo przykre. W Hajfie stan choroby wcale się nie zmienił. Odczuwam w całej pełni złe skutki choroby w podróży. Malarja przygnębiła mnie duchowo i wycieńczyła fizycznie. Odwiedza mnie dr. Kahan-Bernshtein, który za każdym razem przybywa do Hajfy z jednej z pobliskich kolonij i wraca z powrotem. Mam też drugiego lekarza, mianowicie d-ra Nachmanzona z Bułgarii, który przypadkowo hawi w Erec-İzrael.

Dniem i nocą czuwa przy mojem łożu Lederman-Gildai. Rzecz dziwna: nie można tu za żadną cenę znaleźć jakiegoś młodzieńca lub

dziewczyny, którzyby się zgodzili czuwać przy chorym. Boją się poprostu. Jakiś robotnik z fabryki „Atid“ zgodził się coprawda po długich wahanach na rolę takiego „sanitarjusza“ za sutą zapłatą. Jednak już po dwóch dniach ulotnił się z mojego pokoju.

☞ Położenie jest bardzo ciężkie: nikt się nie chce zgodzić na pielęgnowanie. Stałej pomocy lekarskiej użycza mi Niemiec — wielki antysemita. W Hajfie bowiem niema żydowskich lekarzy.

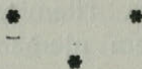
Po każdorazowej wizycie mojego antysemitckiego lekarza jestem niezwykle zirytowany. Mam natomiast bardzo sympatyczną i dobroduszną właścicielkę hotelu również Niemkę. Opiekuje się mną z wielkiem współczuciem i ofiarnością. Zapytuje mnie, czy zawiadomiłem rodzinę w Warszawie o swojej ciężkiej chorobie... Takie pytania osłabiają jeszcze bardziej moje nadzieje. Czuję jakiś silny zawrót głowy, ogarnia mnie straszne rozrzewnienie, a w zamroczonych oczach ukazują się łzy...

* * *

Nastąpiło niewielkie polepszenie tak, że dr. Nachmanzon przewozi mnie do Jaffy. Na dworcu oczekuje nas dr. Kahan z Kiszyniowa, w hotelu „Kamieniec“, dokąd mnie zawieziono, znaj-

duję Czlenowa, Magnusa i wielu innych przyjaciół. Sama ich obecność działa dodatnio na moje usposobienie.

W Jaffie mam już dwie siostry miłosierdzia— panią Dizenhof i p. Lichtenstein i muszę przyznać, że nigdy nie zapomnę owej troskliwej opieki, jaką mnie te dwie panie otaczały! Stan mojego zdrowia polepsza się teraz z dnia na dzień.



Wstałem z łóżka, mimo że czułem się jeszcze bardzo osłabiony. Na porządku dziennym stanął mój powrót do domu. Ale jedna myśl nie daje mi spokoju: jakże mogę opuścić Erec-Izrael, nie zobaczywszy Jerozolimy? Nie mogę stłumić tego pragnienia. Niepodobna mi się pogodzić z myślą, że mógłbym nie ujrzeć tego miasta. Samo przypuszczenie takiej możliwości ciąży mi na sumieniu. Oburza mnie to, że pod sam koniec podróży moja przybrała tak niespodzianie przykry obrót.

Dr. Sz. Lewin i inni przyjaciele nie radzą mi jednak jechać do Jerozolimy. Starają się mnie przekonać:

„Nacóż ci się przyda obecnie podróż do Jerozolimy? Jaką będziesz z tego miał korzyść? Wszak lekarze nie pozwalają ci się przechadzać

po ulicach. Przebywając więc w Jerozolimie nie będziesz mógł obejrzeć świętego grodu. Jedyłą satysfakcję sprawi ci wyglądanie z okna hotelu.. Nie wiele w ten sposób zobaczysz. Jerozolimy nie można poznać przez okno hotelowe... Jedź więc raczej do domu, a uświadomiwszy sobie, że nie widziałeś Jerozolimy, będziesz się poczuwał do obowiązku poraz wtóry zwiedzić Palestynę..“

Tak więc ostatecznie przekonali mnie moi życzliwi przyjaciele.

* * *

*

Jest rzeczą nie do pomyślenia, bym mógł sam wrócić. Czuję się jeszcze nadal bardzo osłabiony, a opieka i karska jest niezbędna. Poczciwy dr. Gisin zgadza się towarzyszyć mi przez pewną część drogi.

P O W R Ó T.

Wyjeżdżamy razem z Czlenowem i Magnussem. Dzięki tym towarzyszom podróży czas upływa nam bardzo miło. W Port-Said następuje rozstanie: Czlenow i Magnus jadą do Hagi na kongres, zaś ja z d-rem Gisinem wsiadamy do

wielkiego parowca angielskiego, który odchodzi do Marsylii.

Pod wpływem zmiany klimatu, pięknej pogody i ożywczego powietrza morskiego, jakoteż dzięki ojcowskiej opiece d-ra Gisina — wracają mi siły. Z dnia na dzień czuję się zdrowszy. W Marsylii rozstaję się z d-rem Gisinem, który wraca do Erec-Izrael. Ja natomiast udaję się do Homburga (miejsowość kąpielowa), gdzie mnie oczekuje moja rodzina...

Z A K O Ń C Z E N I E

Na tem kończy się mój pamiętnik podróży. Chciałbym jednak jeszcze zrobić małą uwagę. Nie należałem do dawnych „chowewe-sjonistów”, a praca w kolonjach przed 20-tu laty, jak to widać z powyższych notatek nie mogła działać na człowieka zbyt pociągająco, ani też nie budziła zapału w tych, którzy wówczas Palestynę zwiedzali. Wszystko opierało się tam na kruchych podstawach, a wszędzie rzucały się w oczy lenistwo i opuszczenie. Do całej sprawy odnieszono się z niezwykłą obojętnością i ze słabą wiarą w odbudowę Erec-Izrael.

Powtórę, miałem sposobność przekonać się, że w aściwą pracę w kolonjach wykonywują Arabowie, a robotników żydowskich możnaby było

na palcach policzyć. Pieniądze kolonistów przechodziły w ręce arabskie, a do kolonij zaglądała coraz większa bieda. Wszystkie te przykre przeżycia uwieńczyła moja ciężka choroba, podczas której przekonałem się, że człowiek chory poza awiony jest w Palestynie na prymitywniejszej opie i, nie mówiąc już o szpitalach lub prywatnych sana'orjach.

A jednak —

Mimo wszystko odczułem po opuszczeniu Palestyny taką tęsknotę za krajem ojczystym, że uczucie to nie dawało mi spokoju. Wówczas postanowiłem się związać z Erec-Izrael przez zakupienie tam ziemi. Nie było to jednak rzeczą łatwą. W Palestynie mógł nabyć ziemię tylko tamtejszy mieszkaniec lub człowiek, któremu się udało dostać niezbędne do załatwienia formalności dokumenty. Droga ta wydawała mi się nadto długą i zbyt uciążliwą.

Chcąc więc przyspieszyć sprawę postanowiłem kupić ziemię na nazwisko Jakuba Kahana z Hagi.

T R E Ś Ć:

	Str
Słowo wstępne	5
Do czytelnika	11
Spotkanie z towarzyszem podróży	13
Wyjazd	15
W drodze do Konstantynopola	17
W stolicy Turcji	18
Wizyta u Haki-Beja	23
Dalsze wędrówki po Konstantynopola	24
Do oczyszczonych brzegów	29
W Smirnie i na Samos	30
Bejrut	33
Jaffa	36
Rocznica śmierci Hercla	40
Jak powstał Tel Awiw	44
Petach Tikwa	45
W Zychron-Jakow	51
Chedera	56
W Hajfie i na szczycie Karmelu	58
W klasztorze francuskim i w monastyrze	61
W Tyberjadzie	66
Rosz-Pinah	68
Wycieczka do Safetu	70
Koloniści i robotnicy	74
„Baron” a koloniści	75
Malarja	77
Powrót	81
Zakończenie	82



5

1948

Skład główny:

Księgarnia
M. J. FREID I S-ka
Warszawa, Rymarska 16.